MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK V. Nr 7 (46) WARSZAWA, 14 LISTOPADA 1925 R. CENA NUMERU 80 gr.

BRAK WYOBRAŹNI TWÓRCZEJ

LUDZIE oświeceni — jako klasa społeczna — odgrywają w nowoczesnem społeczeństwie rolę kierowniczą. Cokolwiekby się sądziło o demokratyzacji stosunków, która jakoby inteligencję odsunęła od steru, całą odpowiedzialność za stan cywilizacji, za bieg spraw publicznych i za to właśnie odsunięcie — na tę klasę, a nie na inną spadać musi. Skargi na upadek inteligencji niema do kogo zaadresować; sama sobie winę przypisać winna, gdy się pozwala spychać i gdy dopuszcza do takich stosunków, jak w Rosji, że ją fizycznie wymordowują. Na to jest życie duchowe, które inteligencja reprezentuje, na to oświecenie, aby przewidywać, odziaływać, zapobiegać, ratować.

Nic innego nie jest celem cywilizacji, jak tworzyć swój gmach na to, aby miał się gdzie podziać i rozrastać duch twórczy narodu. A ten ma w naturze dążność górną, przebijającą ciemności i mury; pod jego parciem rozrasta się wzwyż gmach cywilizacji. W nowożytnych warunkach nie sposób już wrócić do życia pierwotnego, gdzie ciało i duch w zgęszczeniu tworzą jedną żywotną całość ludową; życie na wyższych szczeblach ulega różniczkowaniu. Jest faktem socjologicznym, że pewna część funkcyj społecznych i pewna część ludności swój byt opiera na wyspecjalizowaniu życia umysłowego. Wszystko jedno, jakiemu losowi ta grupa ulega na miarę potrzeb cielesnych: społecznym jej obowiązkiem być tam, gdzie duch się wyrywa, być górą. Nie tylko sama tam ma być, ale pociągać z sobą winna środowisko.

Prawa ducha i ciała są wieczne. — „To tylko dwa skrzydła“ — mówił mądry Krasiński — jednego życia. I nic nowego żaden wiek nie powie o prawie rozwoju narodowego, jak to, co ten poeta podał w formule:

Nic nie spychać nigdy w dół,
Lecz do coraz wyższych kół
Iść przez drugich podnoszenie!

Kiedy ta klasa inteligencji zamiast do góry idzie w dół, to dowód, że nie jest przeduchowiona i że ulega prawu ciała, która szuka tylko wygody. Po wojnie inteligencja przycichła. Tłumaczy się znużeniem, pragnęłaby w nizinach dzielić z pospólstwem hasło chleba i użycia; głos wewnętrzny psalmodji Krasińskiego zagłusza studjowaniem ustaw o związkach zawodowych; utrzymuje zresztą, że czasy są demokratyczne i że trzeba się zatrzeć w tłumie i myśleć „realnie“. I tu właśnie argumenty tchną fałszem. A fałsz na tem polega, że prawa życia wyższego rzędu są też realne i zadania klasy oświeconej są realne. Póki wiedzę o powołaniu społecznem i samo poczucie narodowe zawdzięczaliśmy poetom, to uprawnieni byliśmy myśleć o tych rzeczach mistycznie, a w dogodnych dla biernego ducha warunkach niewoli zbywać swój stosunek do tego górnego świata pieśnią lub westchnieniem. Ale teraz niepodległość uczyniła realnem całe życie od góry do dołu.

Dawniej państwowość (rzecz przecież bardzo realna) była dla nas kwestją nierealną, niemal mistyczną. Czy za taką mamy ją uważać dzisiaj? Odczuwamy, że ona jest czemś realnem, gdy cisną podatki, zaczynamy rozumieć, że wznoszenie własnego państwa i utrwalanie — to wielki wysiłek, wielki koszt, wielka „inwestycja“, dokonywana przez nas dla przyszłych pokoleń. Państwowość, szkielet budowlany wielkiego gmachu naszej cywilizacji, samym faktem powstawania wciąga nas w dziedzinę dążeń idealistycznych. Nie dla siebie przecież każdy z nas dźwiga ten ciężar. Gdyby odwrotnie wyciągnąć konsekwencje z utyskiwań na ciężary, rozlegających się w sferze inteligencji przedewszystkiem, to możnaby oskarżyć współczesnych, że nie chcą mieć swego państwa, że każdemu z nich osobiście byłoby wygodniej w dawnych warunkach niewoli politycznej zabiegać o swój dobrobyt.

Ale tak ciężkich oskarżeń rzucać nie można, nie zła wola bowiem jest przyczyną fałszywego do państwa stosunku, jeno brak uświadomień.

A brak świadomości dziejowej dla tego jest chorobą współczesności, że nie rozbudzony należycie duch, zasi-

lany jest niedostatecznie wyobraźnią. Przyznajmy się, że my dobrze nie widzimy całości gospodarstwa narodowego. Dzieje kazały każdemu z nas poszczególe, jako obywatelom demokratycznej republiki, być gospodarzem Polski, ale gdybyśmy z tą wyobraźnią potrzeb, widoków i możliwości brali się do gospodarowania na kawałku roli, to dzieciom nie zostawilibyśmy w schedzie ani majątku ani dobrego imienia.

Uświadomienie obywatelskie utożsamialiśmy w czasie rządów patrjotyzmu uczuciowego ze stanem uczuciowym ślubowania, że będziemy Polakami, nie damy Polsce zginąć, póki żyjemy, nie damy ziemi, skąd nasz ród i t. d.; ale objektywnie, poza sobą, nie wiedzieliśmy nic o Polsce, co się z nią dzieje i co z nią będzie. Teraz, gdy trzeba wzrok przenieść na przedmiot twórczości, wyobraźnia nas zawodzi: nie mamy w oczach mapy i planu konstrukcyjnego tego wielkiego gospodarstwa. Nie widząc realnie stanu rzeczy, gotowi jesteśmy, jak barbarzyńcy, personifikować przyczyny cierpień (winien zawsze premjer), lub upatrywać zbawienie w jakiejś innej osobistości. A w ten sposób, rządząc się odruchami, osaczeni przez intrygantów i wrogów, łatwo los Polski zaprzepaścimy. Stałą szkołą narodu, jego uświadomieniem i doradcą ma być klasa inteligencji. Od niej naród oczekuje jasności umysłu i wielkości ducha. Starsze pokolenie dziś czynne miało złą szkołę, więc trudno mu być jeszcze dobrym wychowawcą. Inteligencja polska zawodziła podczas wojny i teraz zawodzi. Dla tego bardzo trudne jest zadanie wychowawcze państwa, bardzo odpowiedzialne i nagłe. Jeśli nie wytworzymy szybko zastępów inteligencji tak wychowanej w szkołach, żeby wreszcie miała przed oczyma duszy obraz swego powołania, inteligencji obdarzonej wyobraźnią twórczą, to ciężki będzie nasz żywot polityczny i słabe tętno cywilizacji.

Z podręcznika nauki o kraju tej wyobraźni gospodarskiej nie nabędziemy. Ona się rodzi z głębokich połączeń intelektu z instynktem i sumieniem narodowem. Szkoła prócz informacji musi dać nowym pokoleniom kulturę moralną i umysłową, prawdziwie humanistyczną. Polska wybrnie z trudnych początków i rozkwitnie, gdy w pochodzie dziejowym iść będzie przed nią idealistka inteligencja, reprezentująca ducha narodu, jego „duchowe poznanie i serca wieczną, nieskończoną miłość".

Z. WASILEWSKI

STUDJUM POLITYKI ANGIELSKIEJ

PRZEZ kilka lat odzywały się w naszej prasie narzekania na politykę angielską i skargi na brak zrozumienia ze strony Anglików. Doszedłszy w ten sposób do znużenia, dzisiaj przywykła już przeważająca opinja do fatalnej nieprzyjaźni angielskiej, od nielicznych zaś głosów tych, którzy dalej wierzą w Anglję naprzekór innym, odbija tem wyraźniej powszechna rezygnacja.

Dzieło Romana Dmowskiego o polityce polskiej w czasie wojny przypominało nam szczęśliwsze czasy, kiedy nasza dyplomacja miała w Anglji okazałe sukcesy, mimo że były to pierwsze kroki na tym gruncie, pierwszy wprost od wielu lat poważny wysiłek ku zainteresowaniu tego narodu naszą sprawą. Te też mimo nastroju rezygnacji bierze każdy do ręki z niepowszedniem zainteresowaniem nową rozprawę, która wyszła świeżo z pod tego samego pióra p. t. „Anglja powojenna i jej polityka".

Twórca polityki polsko-angielskiej stwierdza, że za ostatnie lata doświadczenia nasze z tym krajem są zbyt często ujemne, co więcej, przewiduje dalsze niespodzianki na przyszłość. Przyczyny dopatruje się Autor w zmieniającej się sytuacji tego państwa w świecie i wewnątrz samego Imperjum, słowem w zachwianiu lub obaleniu wszystkich stosunków, które były dotąd fundamentem potęgi angielskiej, a więc w stosunku W. Brytanji do dominjów i kolonij, następnie do innych narodów handlujących, zwłaszcza do Stanów Zjednoczonych, w równowadze sił społecznych w samej W. Brytanji, w dzisiejszych warunkach produkcji i współzawodnictwa handlowego. Autor przechodzi po kolei te różne elementy świata angielskiego i wskazuje na związek między chwiejnością polityki zagranicznej angielskiej a nieregularnemi ruchami, z jakiemi obecnie wydobywają się źródła jej siły. Choć czytelnik nie znajduje w książce gotowej odpowiedzi na każdą bieżącą kwestję, widzi, że te odbywające się ciągle przemiany angielskie nie zapowiadają wcale, żeby polityka zagraniczna tego państwa szła w przyszłości po wyraźnej geometrycznej linji. Pozatem dla nas, Polaków, przewidywania w tej sprawie są trudniejsze, niż dla innych narodów.

„Sfera naszych interesów i naszych działań daje nam w bardzo skromnym zakresie sposobność do bezpośredniego zetknięcia się z Anglją", wspomina Autor na wstępie, wobec czego możemy obserwować politykę angielską „co najwyżej z odległości"; a jednak od wielkiej wojny aż dotąd „nie przestawaliśmy i nie przestajemy, często bardzo przykro, odczuwać znaczenia Anglji i potęgi wpływów angielskich".

W tych dwu uwagach, pozornie sprzecznych, znajdujemy wytłumaczenie naszego nieporozumienia z Anglikami. Jesteśmy dużym narodem, siedzimy w rozległym kraju, to też narówni z innemi dużemi krajami świata odczuwamy na sobie potęgę angielską i to najczęściej dotkliwie, tak samo jak inni. A chociaż jesteśmy państwem i to znacznem państwem, od lat sześciu patrzymy na Anglję ciągle z odległości i na jej interesy wywieramy ciągle za mało wpływu.

Przypatrzmy się, jak się ułożyły nasze stosunki z tym krajem na tem polu, które Anglików interesuje najwięcej.

Stosunki z innemi narodami lubią oni ujmować w cyfry, szacując je dokładnie na funty szterlingów, ważąc je na tonny, i na tem obliczeniu polega szacunek polityczny każdego kraju u Anglików. I tak wywóz towarów angielskich do Szwecji szacowany jest na 16 miljonów funtów szterl., do Norwegji na 9, do Danji na 15, do Finlandji na 5, do Portugalji na 5, do Grecji na 6, do Polski na 5 miljonów funtów. Naodwrót ze Szwecji sprowadzają Anglicy towarów za 22 miljony, z Norwegji za 11, z Danji za 28, z Finlandji za 14, z Portugalji za 5, z Grecji za 5, z Polski za 8 miljonów funtów szterl. rocznie.

Wymieniając wyłącznie narody europejskie, wzrostem kilkakrotnie mniejsze od Polski, widzimy, że od biedy wytrzymuje wobec nich porównanie handel polsko-angielski.

Dla kontrastu można wtrącić uwagę, że w tymsamym r. 1924 zakupiła W. Brytanja towarów w Belgji za 36, w Niemczech za 37, we Francji za 66 miljonów funtów szt.

Wiadomo, że na handlu zagranicznym polega pomyślność Anglji i jej przewaga w świecie, a nawet egzystencja każdego Anglika zależy bezpośrednio lub pośrednio od rozwoju tego handlu, to też polityka angielska na bliską i daleką metę ten głównie cel ma na oku, żeby ułożyć korzystnie wymianę towarów z innemi narodami.

Gdy zaś dla uzupełnienia obrazu wspomnimy, że handel ze Szwecją wynosi 1 procent, handel zaś z Polską ledwie przekracza pół procentu światowego handlu W. Brytanji, znajdujemy wystarczające wytłumaczenie, dlaczego Anglicy obstają przy wyróżnianiu narodów wielkich od małych, nas zaś wypychają uporczywie na szary koniec.

W świetle tych cyfr zrozumiałe jest również, że żądania zarówno niemieckie, jak belgijskie, odzywają się w Anglji kilkakroć mocniejszym głosem, niż nasze, i że uważniej są słuchane. Jednak co do Niemiec wchodzi jeszcze w rachubę to, że ich stosunki handlowe są umiejętniej wyzyskiwane dla celów politycznych, że z drugiej strony są uważani za współzawodników niebezpiecznych.

Gdyby nasze dzisiejsze stosunki z Anglją były naturalną funkcją naszych sił i zasobów, gdyby Polska była małym narodem na miarę Portugalji, Grecji, lub Finlandji, których użyteczność dla W. Brytanji wyraża się w stosunku: pół procent, nie byłoby rzeczywiście widoków na bliższe zetknięcie się z Anglją i moglibyśmy spoglądać na nią, jak na ciało niebieskie, wywierające ruchem i przyciąganiem wpływ na nasze losy, ale na bieg którego nie możemy mieć żadnego wpływu. Spojrzenie równie astronomiczne moglibyśmy posyłać ku innym potęgom tego świata i rozważać teoretycznie, czy równowaga między niemi utrzyma i nas przy życiu, czy też jakie wykolejenie porwie nas wszystkich w wir katastrofy.

Na szczęście, tak nie jest. Był taki czas, kiedy Polacy wywierali skuteczny wpływ na decyzje Anglji i innych panów świata. Wówczas oceniano nas wedle sił, których oczekiwano od wyzwolonego narodu polskiego. Obecnie okazało się, że niektóre przynajmniej z tych rachub były trafne i są wszelkie powody do nadziei, że użyteczność Polski dla innych narodów będzie coraz więcej odpowiadała rozmiarom kraju i wzrostowi narodu.

Handel zagraniczny Polski, który dochodził w ostatnich latach w przywozie i wywozie do sumy 3 miljardów złotych, jest pozycją niewątpliwie interesującą dla każdego narodu handlującego, poszukującego klijenteli. Jeśli obecnie nie odgrodzimy się chińskim murem od świata, stanie się on pozycją interesującą tem więcej, że przewaga niemiecka w handlu polskim zmniejsza się z każdym rokiem i zależnie od porozumienia z innemi krajami mogłaby być zredukowana jeszcze mocniej. To jest wdzięczny temat praktycznych studjów angielskich, zwłaszcza że dotąd przez ręce niemieckie dochodzą do nas także towary, pochodzące z posiadłości angielskich.

Najwymowniejszym przykładem jest przywóz bawełny i wełny, stanowiący w r. 1924 okazałą wartość 267 miljonów złotych, która nawet dla potężnego handlu angielskiego byłaby pozycją pociągającą. Wiadomo, że oba te artykuły pochodzą z posiadłości angielskich lub z Ameryki Północnej i że tylko część ich bywa wyładowana w Gdańsku, główna zaś masa idzie po staremu na Hamburg i Berlin. Handel nasz z W. Brytanją lub ze Stanami Zjednoczonemi, wzrósłby odrazu w dwójnasób, nawet w dzisiejszych warunkach produkcji, gdyby importerzy polscy potrafili się obejść bez pośrednictwa niemieckiego.

W sferach zaś kupieckich w City londyńskiej zaczęłaby się szerzyć nowa opinja, że pretensje niemieckie do Gdańska i do Pomorza, wymierzone widocznie przeciw interesom angielskim, są żądaniem wygórowanem, a Polska nie jest znowu tak małym narodem, jak mówiono.

W rozdziale pierwszym „Anglji powojennej" jest wezwanie do ludzi młodszych, żeby zabrali się do studjów politycznych nad Anglją dla dobra naszej wielko państwowej polityki. Wydaje mi się, że w intencji czcigodnego Autora byłby także apel do ludzi starszych, w których ręku sa wielkie interesy kraju, żeby w imię elementarnej i bardzo pilnej potrzeby nie ignorowali nadal Anglji tam, gdzie naprawdę jesteśmy z nią w bliskiem zetknięciu.

Wpadlibyśmy w drugą ostateczność, gdybyśmy się spodziewali zbyt wiele od naprawy naszej polityki ekonomicznej, jaką doraźnie możemy przeprowadzić. W każdym razie jednak, jeśli interesy angielskie w Polsce będą rosły szybciej, niż dotąd, jeśli użyteczność drogi gdańskiej będzie widoczna dla szerszej sfery kupiectwa angielskiego, będzie się też rozszerzała sfera korzystnego zetknięcia między temi krajami, a nawet obserwowanie rozleglejszych, światowych interesów Anglji będzie dla Polaków dopiero wówczas dostępne, gdy będziemy mogli bliżej i częściej, bo w rozszerzonym obrębie polskiego życia, przypatrywać się Anglikom i ich działaniom.

BOLESŁAW BATOR

O CENĘ ABSOLUTU

TRUDNĄ i uciążliwą dla przeciętnego czytelnika jest rzeczą przewertowanie pracy, mającej za przedmiot wykład nauki Wrońskiego. Prof. Ujejski, dzięki kompozycji swej książki*), od trudności tej do pewnego stopnia czytelników uchronił, dla obudzenia bowiem zainteresowania zaczął od skandalicznej sprawy „sprzedaży Absolutu" przez Wrońskiego Arsonowi, bankierowi nicejskiemu. Wroński, za określoną cenę, zobowiązał się wyłożyć Arsonowi swą wiedzę o Absolucie i przez to ujawnić mu całą ukrytą istotę bytu i prawa, rządzące ewolucją ludzkości; poczem z całą bezwzględnością ściągał z niego obiecaną zapłatę, rujnując go materjalnie, głuchy na protesty, błagania, groźby i skandal. Sprawa przedstawia się dziwnie i dla naszych czasów niezrozumiale: z jednej strony chory człowiek, który twierdzi, że posiadł wiedzę najwyższą, nikomu dotąd niedostępną, wiedzę, do której zrozumienia ludzkość jeszcze nie doszła, ale bez której nie wyjdzie z chaosu i męki i nie osiągnie celu swego istnienia; z drugiej człowiek, który niemal cały swój majątek oddaje za nabycie owej tajemniczej, wielkiej wiedzy.

Prof. Ujejski, spożytkowując zaostrzoną ciekawość czytelnika, stawia w dalszym ciągu pytanie: jakaż była ta wiedza Wrońskiego, sprzedana Arsonowi? Odpowiadając na nie, rozwija teorje Wrońskiego, z pism jego wyjęte. Na wykładzie filozofji Wrońskiego spoczywa główna waga książki. Wreszcie stara się rozstrzygnąć kwestję, czy sama tylko chęć zysku kierowała Wrońskim, gdy się

*) *Józef Ujejski.* „O cenę Absolutu. Rzecz o Hoene—Wrońskim". Warszawa 1925. Nakład Gebethnera i Wolffa.

targował „o cenę Absolutu", czy też motywy inne, bardziej skomplikowane i więcej abstrakcyjnej natury; oraz czy Wroński napewno sądził, że jest w posiadaniu niedostępnej dotąd nikomu prawdy, od której zależne jest zbawienie świata. Na pytania te odpowiada Ujejski ze zrozumieniem epoki i psychologji spółczesnej. Wogóle książka jego powinna dodatnio wpłynąć na podniesienie kultury dzisiejszego pokolenia, udostępniając zagadnienia z dziedziny filozoficznej mistyki i wyrabiając przytem krytyczny do nich stosunek.

Jednego atoli nie wytłumaczył Ujejski swym czytelnikom, bez czego Wroński i cały mesjanizm muszą im zostać niezrozumiałe, a mianowicie, na jakiej podstawie rozumowej nie tylko Wroński, ale i inni „Mesjasze" dziewiętnastego wieku mogli, bez szaleństwa, uważać się za posiadaczy wiedzy najwyższej i znajdować uczniów i wyznawców nawet wśród ludzi inteligentnych. Otóż wiek każdy ma swoje ideje i wiarę, będącą dlań chlebem powszednim, a nie koniecznie mającą zyskać sankcję wieków przyszłych. Jak w naszych czasach np. wierzyło się w pacyfizm i wierzy się w Ligę Narodów, która może będzie pośmiewiskiem przyszłości, i dla tych złudzeń poświęca się często interesy realne, skarbiąc sobie nazwę utopistów, tak wiek XIX, mówiąc ściślej — romantyzm, wierzył niezbicie, że jest wiekiem przeznaczonym do zlikwidowania smutnej i marnej teraźniejszości i rozpoczęcia nowej, świetnej epoki dziejów ludzkości. Wiara zaś ta nie była bynajmniej nieuzasadniona, płynęła bowiem z teorji ewolucji, ogólnie przyjętej i znajdującej się wówczas w pewnej fazie swego rozwoju. Mesjanizm wogóle był wyprowadzeniem ostatnich konsekwencyj z owego momentu teorji ewolucyjnej, według którego ewolucja dziejowa, zmierzająca do podniesienia ludzkości do pełni bytu, spoczywającej czy to w Absolucie, czy, po prostu, w Bogu, odbywa się w szeregu epok, przegradzanych okresami chaosu, katastrof i rewolucyj, a te są kryzysami rozwoju takiemi, jakie w życiu indywidualnem przychodzą na przełęczy dzieciństwa i wieku męskiego.

Po zamknięciu okresu kryzysu, wychodząca z mroków dziejowych nowa epoka wynosić miała na powierzchnię nową prawdę, wzbierającą dotąd nieświadomie w ludzkości, nowe prawo religijne i społeczne, oraz wielkie ukojenie i harmonję. Że taka, a nie inna jest odwieczna kolej ewolucji, wnosili romantycy z wielkich geologicznych przewrotów, którym ulegała ziemia, z przyrodniczych obserwacyj i z nauki historji; za sobą mieli wielką rewolucję, największą z katastrof, głęboko zaś odczuwając rozdarcie społeczne swego czasu, nie sądzili, by w męce i rozpaczy pójść mogła ludzkość jeszcze dalej i teraźniejszość uznali za ostatni wyraz jej upadku, po którym spodziewać się należało promiennego ukazania się nowego słońca. A ci z pośród nich, którzy najwięcej buntowali się na teraźniejszość i najwięcej mieli inicjatywy, z łatwością przychodzili do przekonania, że oni właśnie, nie kto inny, przeznaczeni są na wydarcie z łona wieków nowej prawdy i otwarcie ludzkości krainy szczęścia. Byli to Mesjasze dziewiętnastego wieku — Saint Simon, Enfantin, Towiański, Wroński i w. in. Jakikolwiek byłby do nich stosunek większości spółczesnych, mesjanizm stanowił organiczną część ówczesnego poglądu na życie i „Mesjasze" mieli filozoficzne uzasadnienie swego charakteru.

Mesjanizm w najogólniejszej swej formie przejawił się przedewszystkiem nie jako wiara w poszczególne jednostki, w Mesjaszy, ale jako wiara w mesjanistyczne posłannictwo poszczególnych narodów, mających przodować ludzkości. Poczucie wielkiego swego posłannictwa powstało, w związku z teorją ewolucyjną, w zupełnie naturalny sposób u narodów takich, jak Włochy, przodujących ludzkości raz jako Rzym starożytny, a drugi raz w epoce Renesansu, lub Francja, która rzeczywiście rzuciła nowe hasła w ludzkość. Polsce natomiast trudniej było stworzyć u siebie mesjanizm. Potrzeba było aż tęsknoty emigracyjnej, oderwania od życia, idealizowania odległej ojczyzny, aby powstać mogła myśl, że Polska jest przeznaczona przewodzić wszystkim narodom, że ona jedna, uniknąwszy zmaterjalizowania i sceptycyzmu, zdolna jest stworzyć nową religję i nowe prawo społeczne, i że porwie ona na swe tory, olśnione jej czystością i potęgą europejskie społeczeństwa.

Wartością książki Ujejskiego jest bogata erudycja autora, solidna metoda badania, przejrzystość stylu i poprawność języka.

STANISŁAW SZPOTAŃSKI

WYCHOWANIE WOJSKOWE ZA CZASÓW KOMISJI EDUKACJI NARODOWEJ

REKTOROWI J. ŁOSIOWI POŚWIĘCAM

I.

DOBROWOLNA redukcja armji narodowej do 24.000 żołnierza, przeprowadzona w r. 1717, nie mogła trwać wiecznie. Zestawienie polskiej siły zbrojnej z potęgami mitarnemi sąsiadów wykazywało tak rażącą dysproporcję, że musiała ona zwrócić uwagę nawet najbardziej zagorzałych pacyfistów owych czasów. Prąd w kierunku zwiększenia siły bojowej obudził się też na nowo, zwłaszczcza po pierwszym rozbiorze, który wstrząsnął sumieniami, odsłaniając niemoc Polski wobec zaborców. Kuluminacyjnym punktem akcji społeczeństwa przeciw rozbrojeniu, które zaakceptował Sejm Niemy, był Sejm Czteroletni, skonfederowany pod hasłem 100.000 armji.

Już dość wcześnie zdawały też sobie sprawę stany sejmujące, że bezładna ruchawka szlachecka nie wystarczy, ale konieczna jest wyćwiczona i bitna armja, któraby sprostała sile bojowej Rosji, Prus i Austrji. Duże zasługi w owem dziele budzenia świadomości narodowej i kierowania uwagi społeczeństwa na zagadnienia wojskowe położył niewątpliwie „Monitor". Na progu epoki stanisławowskiej w r. 1766 ukazuje się na łamach tego czasopisma wezwanie do edukacji wojskowej młodzieży. Autor artykułu zaleca Polakom naukę jazdy konnej i dodaje: „Nietylko same teorytyczne i pełne wysokich rozmyślań nauki potrzebne są młodzieży; *mens sana in corpore sano* powinna być celem pragnienia naszego, to wszystko, co zdrowie krzepczy, siły wzmaga i powierzchowność kształci w dobrem wychowaniu opuszczać się nie powinno. Stąd najwyborniejsze państwa, wiedząc, iż nietylko umysłów ku radzie, ale i rąk ku obronie krajowi trzeba, starały się mieć w pilnem baczeniu to wszystko, cokolwiek młodzież sposobną do pracy i dzieł wojennych czyni".

Stanęła na tem stanowisku i Komisja Edukacji Narodowej, która jako zasadę postawiła konieczność wychowania dobrych i dzielnych obywateli państwa. Gro-

za wiszącej nad Polską wojny musiała też wywrzeć wpływ na program wychowawczy Komisji, a jeżeli dodamy do tego, że orgnizacja 100.000 armji żółwiemi postępowała krokami, to łatwo zrozumiemy starania K. E. N. około wychowania wojskowego już w obrębie murów szkolnych.

Trzeba było tylko zwalczyć doktrynę pacyfistyczną, modną, jak wiadomo, w XVIII w., co zresztą nie przyszło z wielkim trudem. Rycerska żyłka zaczęła się odzywać i w tych Polakach, którzy zamiast kontusza przywdziewali frak, a na podgolone czupryny naciągali wypudrowane peruki. Jest faktem, że ufryzowany i kuso odziany szlachcic z epoki Stanisława Augusta tęskić zaczął do dawnych świetnych czasów, kiedy przed Polską zginali karki dumni sasiedzi, a świat cały za przedmurze chrześcijaństwa ją uważał. Zresztą twarda rzeczywistość przemawiała najsilniej. Staszic dochodzi do smutnego wniosku, „iż Rzeczypospolite, a tym bardziej oligarchje w pośrodku samodzierstw żadną miarą kwitnąć nie mogą" i że siłą despotyzmu jest wojna. Stąd łatwo już przeszedł do nieubłaganego stwierdzenia, że „dziś ten naród niesprawiedliwość popełnia, który się bić nie umie". A od tego stwierdzenia jeden już krok tylko był do następnej tezy: „sztuka wojenna powinna być jedynym zamiarem ćwiczeń ciała w edukacji Republikanta". Obywatel „powinien też — pisze Staszic w *Uwagach* z r. 1785 — umieć zwyciężać, bić i gnębić nieprzyjacioły kraju swojego".

Przy takim stanie umysłów Komisja Edukacji Narodowej musiała się zająć sprawą wychowania wojskowego młodzieży wcześnie i szybko.

W niniejszym artykule zajmiemy się naprzód zestawieniem głosów o wychowaniu wojskowem, które wyłowiliśmy z obfitej literatury pedagogicznej i czasopism, dalej przedstawimy przepisy, tyczące się wychowania wojskowego, zawarte w oficjalnych wydawnictwach K. E. N. a wreszcie sprobujemy odtworzyć, co w rzeczywistości zdziałało szkolnictwo w sprawie wychowania wojskowego za czasów K. E. N. Zagadnieniem powyższem zajmował się już przygodnie Ant. Karbowiak w rozprawie *Wychowanie fizyczne Komisji Edukacji Narodowej w świetle historji pedagogji* („Muzeum", R. 1901-02).

Ustanowienie Komisji Edukacji Narodowej wywołało żywy ruch na polu szkolnictwa. Posypały się projekty i rady z różnych stron. Dużą rolę odegrała tu zresztą inicjatywa K. E. rzucona w uniwersale, ogłaszającym jej ustanowienie.

Zwracała się K. E. N. dn. 24 października 1773 r. do wszystkich rektorów i przełożonych szkół „ażeby myśli swoje względem poprawy nauk (Komisji Eduk.) oświadczyli, upewniając, że cokolwiek najdzie pożytecznego istotnie dla obywatelskiej edukacji w ich radach, zachowawszy wdzięczność dla wynalazcy, wszystkiego tego użyć nie omieszka". Wezwanie Komisji nie pozostało bez echa. Projekty nowej edukacji publicznej zaczęli nadsyłać wybitni ówcześni pedagogowie oraz ludzie, którzy się zajmowali szkolnictwem albo po amatorsku, albo z racji swego stanowiska w Kom. Eduk. Wszyscy niemal projektodawcy objęli programem szkolnym wychowanie wojskowe.

Pierwszy odpowiedział na apel Komisji starosta czerski, Franc. Bieliński, ziemianin, interesujący się żywo sprawami szkolnemi. W wydanym dopiero w 1775 r. *Sposobie edukacji w XV listach*... znajdujemy ciekawy i stosunkowo obszerny ustęp w liście szóstym, poświęcony wychowaniu wojskowemu. „Każdy obywatel Rzplitej — pisze Bieliński — powinien być Ojczyzny swojej obroną. Sztuka wojenna dzisiaj bardziej na porządnym wojsk obrocie, aniżeli na wrodzonej odwadze funduje się — a nie możnaby te rekreacji godziny na uczenie się musztry, szykowania etc. poświęcić?... Mnie się zdaje, dzieci z ochotą taką woleli by zabawkę, aniżeli w piłkę grać, albo za papierowym orłem uganiać się. A tak, gdy Ojczyzna w nagłej potrzebie obrony wyciągać będzie, wszystka młódź wyćwiczona umiejętnym stanie się żołnierzem... W szkołach na rekreacji żartem tego się nauczą, w dalszym wieku na popisach sobie przypomną, a przeto zawsze być mogą gotowi na bronienie Ojczyzny".

Szczegółowsze wskazówki w sprawie wychowania wojskowego podał w swoim projekcie z marca 1774 r. światły Pijar, ks. Ant. Popławski. W drukowanem wydaniu projektu w r. 1775 p. t. *O rozporządzeniu i wydoskonaleniu Edukacji obywatelskiej* radzi Popławski urządzać wycieczki w pole po obiedzie 3 razy na tydzień. „Na tych regularnych rekreacjach — pisze — powinny być (dzieci) ćwiczone w mustrze, w marszach, we wszystkich ewolucjach żołnierskich: zamiast strzelania, ponieważ tylko palcaty mieć w ręku będą, niech się uczą porządnie atakować, bronić placu, wymierzać i rozmierzać miejsce na obóz etc". Pomyślał też ksiądz Popławski o instruktorach wojskowych. Żąda utrzymywania dwóch wyćwiczonych żołnierzy przy każdej szkole „którzyby (młodzież) w takowej musztrze i żołnierskich ćwiczeniach trybem wojskowym zaprawowali. Coby stąd — dodaje doskonały pedagog — ku ubezpieczeniu całego narodu urosnąć mogło, niech się każdy domyśli". Powyższy program wychowania wojskowego miał obowiązywać tylko w szkołach średnich. Sprzeciwiał się natomiast autor *Zbioru niektórych materyj politycznych* stanowczo wprowadzaniu ćwiczeń wojskowych do szkół parafjalnych. Wychodził z tego założenia, że już samo ubóstwo edukuje człowieka fizycznie.

Nie zapomniał o wychowaniu wojskowem i następny projektodawca, Ignacy Potocki, pierwszorzędny umysł polityczny czasów Stanisławowskich, czynny bardzo w Komisji Eduk. W *Myślach o edukacji i instrukcji w Polszcze ustanowić się mającej* (ogłoszonych w r. 1923 przez prof. St. Kota) domaga sie Potocki, ażeby podczas rekreacyj wykonywano żołnierskie prace. Nadto wyraźnie chce Potocki, aby ćwiczenia wojskowe odbywały się pod kontrolą żołnierza, pisze bowiem: „Tu wypływa potrzeba jednego żołnierza do egzercytowania przy każdej szkole".

Równie mocno podnosi konieczność wychowania wojskowego ks. Grzegorz Piramowicz w piśmie, objaśniającem nowy układ nauk, przepisany przez K. E. N. a noszącem tytuł: *Uwagi o nowym instrukcji publicznej układzie* (R. 1776). Pisze tam, że „każdy obywatel Rzplitej powinien być żołnierzem" i że „nie można w tych wiekach być żołnierzem bez umiejętności liczby i rozmiaru",

Obok tych poglądów na sprawę wychowania wojskowego, które znajdujemy w literaturze pedagogicznej, poprzedzającej ukazanie się urzędowego wydania *Ustaw Kom. Eduk. Nar.* (R. 1783) dałoby się jeszcze wskazać cały szereg innych głosów, niemniej gorąco nakazujących troszczyć się o przysbosobienie wojskowe młodzieży.

Przytaczamy ważniejsze. Najciekawszy projekt zmilitaryzowania całego kraju podał w r. 1784 bezimienny autor (prawdopodobnie H. Kołłątaj) w rękopiśmiennym artykule *O odmienieniu Szkoły Rycerskiej i o wskrzeszeniu milicyj wojewódzkich.* [Rks. Bib. Czart. 1187, ukryty wśród pism skarbowych Tad. Czackiego*)].

Autor projektu twierdzi we wstępie, „iż każdy Polak rodzi się żołnierzem ...i że byłaby ostatnia hańba dla Polaka nie mieć serca i nauki żołnierskiej". Wyjaśnia też nieco dalej cel naczelny edukacji wojskowej: „Nie idzie nam albowiem i jedynie o to, abyśmy mieli liczne wojsko, lecz abyśmy mieli ducha żołnierskiego w całym kraju".

Swojemi pomysłami reorganizacyjnemi pragnie autor projektu objąć Szkołę Rycerską. Ze względów oszczędnościowych i dla zachęcenia innych do ćwiczeń żołnierskich

*) Uwagę moją na powyższy rks. zwróciła p. M. Miterzanka

proponuje podzielić 90 kadetów pomiędzy 5 szkół wydziałowych koronnych i 4 szkoły wydz. litewskie. Spodziewa się, że drugie tyle sami rodzice będą utrzymywać. Taka osobna klasa kadetów obok nauk zwykłych, przepisanych na szkołę wydziałową, miałaby jeszcze 1 dozorcę do karności i nauki musztry (podoficer inwalida), 2 dyrektorów i 1 profesora nauk żołnierskich, umiejącego taktykę, architekturę militarną, pyrotechnikę i artylerję. Nadto w Szkole Głównej miałyby powstać katedra nauk żołnierskich*). W szkołach podwydziałowych należałoby utrzymywać podoficerów, którzyby uczyli musztry. „Z czasem — marzy autor projektu — tylebyśmy mieli uczniów Szkoły Rycerskiej, ile rachujemy studentów po szkołach, wyjąwszy małą liczbę niedołężnych". Jeszcze śmielsze projekty snuł bezimienny autor w związku z reformą edukacji wojskowej. Chciał cały naród polski uzbroić. „Obywatel — pisze — wyćwiczony w sztuce wojennej za młodu, miałby tyle ochoty do stanu żołnierskiego, żeby nawet włościanów swojej wsi mógł w sztuce żołnierskiej doskonalić, a tak Polska mogłaby być z czasem na wzór Szwajcar, gdzie każdy obywatel w potrzebie Rzplitej jest żołnierzem". Dalszym ciągiem szkolnej edukacji wojskowej byłyby popisy wojewódzkie. Wzrosłaby karność obywatelska i naród zerwałby z gnuśnością.

Ojciec demokracji polskiej, Staszic, domaga się w *Uwagach*, aby w szkole uczono „mustry, wojskowych obrotów... konnej jazdy, taktyki, budowania, bronienia i dobywania fortec. Zawsze łącząc z teorją praktykę i wykonywając to wszystko w polu, w dni rozrywek. Zgoła te wszystkie młodych zabawy powinny mieć pewny zamiar, do obowiązków obywatela rycerza stosowny".

*) Możnaby z powodzeniem dziś ten projekt wskrzesić.

Gwałtowniej przemawia za wprowadzeniem wychowania wojskowego ks. H. Kołłątaj w dziele swem *Do Stanisława Małachowskiego... Anonyma Listów kilka* R. 1788. Zarzuca Kołłątaj K. E. N. „wiele miękkości" w edukacji. Chce wskrzesić dawne, świetne tradycje rycerskie i woła: „wróćmy i natchnijmy w młodzież ducha poprzedników naszych, a zobaczymy, czym będzie Polska względem nienaturalnej wielkości obcych mocarstw. Dajmy jej tylko edukacją żołnierską, wskrześmy popisy w naszych powiatach i województwach, ustanówmy musztry po parafjach, a w czasie potrzeby powiększemy ogromność wojska naszego do takiej liczby, jakiej okoliczność wymagać będzie".

Unosi się nad temi projektami najwybitniejszych mężów stanu XVIII stulecia widmo wojny, która istotnie rozpaliła się w 1792 roku.

Z czasopism *Pamiętnik Historyczno-Polityczno-Ekonomiczny*, świetnie redagowany przez ruchliwego dziennikarza, Piotra Świtkowskiego, zajmuje się również wychowaniem wojskowem. Wydawca *Pamiętnika* twierdzi wbrew poglądom Popławskiego, że w szkołach parafjalnych „osobliwie byłoby z pożytkiem dla całego kraju, żeby jaki urlopowany żołnierz lub inwalid uczył dzieci musztry, mniejsze z bronią drewnianą, zaś większe z prawdziwą" (R. 1790).

Na tem kończymy zestawienie głosów, jakie się w sprawie wychowania wojskowego rozlegały za czasów K. E. N. Nie chodziło nam o wyczerpanie tematu. Wskazaliśmy na najznamienniejsze, naszem zdaniem, poglądy w tym celu, aby uchwycić ducha czasu i stwierdzić, że wbrew pacyfistycznej doktrynie ówczesne pokolenie trafnie oceniało sytuację i wraz z Trembeckim wolało wierzyć, że „sprawiedliwość na końcu przemieszkuje miecza".

(Dok. nast.) TADEUSZ BIELECKI

*

*

DUCH dobry i przychylny wiódł mnie chmurną nocą
tą drogą pośródleśną, obcą i nieznaną —
bo było przewidziane, że serca wyzłocą
— jak słońce krzyż kościelny — dnia przyszłego rano.

Dzień dla ludzi deszczowy — stał się tak pogodny
jak twe oczy modlitwą jasne i rozległe —
w przestrzeni mądrej ziemią, niebem niezawodnej
mijała się myśl z myślą — jaskółki rozbiegłe.

To był czwartek; kalendarz tak mówił; — lecz dla mnie
był to dzień nienazwany lub stanisławowy —
dzień, w którym słowo czucia powtarza niekłamnie,
a rozbłysłe połową szuka swej połowy.

Dwa poematy splotły się dnia tego z sobą
— jeden zaklął upadki i żądze człowiecze —
— drugi szedł cieniem skośnym przed znaczną osobą;
cień śpiewny, przezroczysty jak ranne powietrze.

Skolimów, sierpień
Gorzeń-Górny, 11 październik
1925

*

STANISŁAWOWI MIŁASZEWSKIEMU

W południe łódź wysmukła żwawo nas poniosła
szeroką, szklaną rzeką aż do olchy onej,
gdzie o senne trzcin struny uderzyły wiosła
w takt ciszy, pluskiem płytkiej fali obudzonej.

Któż zatrzyma bieg godzin! przelot chwil!—Któż zdoła
wiatr uchwycić za skrzydła —!— — Opadł liść na wodę,
jakby starty zadumą z olchowego czoła
co zmarszczką kory stare—zielenią, jak młode.

Wróciliśmy do miasta; dzień kroczył przed nami,
wyprzedzał zmierzch i drogę torował przez zorze —
— piętrzyły się jasności—żywych tęcz schodami
szliśmy w modlitwie jednej i jednej pokorze.

Dziś z błękitnego mgłami gór wyniosłych cienia
z tej samej lecz samotnej stu świateł powodzi
śle Ci mą wieść radosną—cichszą od westchnienia —
o wiosłach w krzyż złożonych w Chrystusowej łodzi.

EMIL ZEGADŁOWICZ

N. D. D. P.

(Dokończenie)

CECYL, znudzony powszednim pejzażem, bujał się na poręczy biegunowego krzesła w zagłębieniu muru. Nerwy jego łaknęły ciągle nowych wrażeń. Skoro mu ich brakło, napadała go chandra. Mróżąc pierzaste rzęsy, obserwował z profilu matkę, która oparta oburącz o balustradę, wyglądała w księżycu równie chimerycznie, jak średniowieczne rzeźby na narożnikach krużganku. Koafiura jej, umalowana modnie na kolor cynobrowy, mieniła się połyskiem zielonawym. Złote, sowie oczy o rozlanych źrenicach podkrążał podkowami kobaltowy cień. W rozchylonych ustach, ciemno granatowych lśniły ostre zęby, o emalji błękitnej. Artystka miała na sobie suknię ze srebrnej sieci, przez której oka przezierało ciało, wzorzyście tatuowane. Tualetę uzupełniał bajecznie zwiewny szal, mający rzekomo chronić od chłodu.

Chłopiec przyglądał sią smukłym nogom żeńskim, obutym tylko w płytkie, wieczorowe ciżmy. Chart jego matki, spoczywający dotychczas spokojnie obok krzesła, podniósł do góry łeb i groźnie warknął.

— Leżeć, Jove! — zawołała Olga. Obróciła się, spotkała wzrok syna.

Była to kobieta nawskroś nowoczesna. Już jako młoda panna, uczennica Szkoły Sztuk Pięknych, odbywała wycieczki do lupanarów. Lubiła także pasjami nocne wyprawy do Bulońskiego Lasku, nagminną rozrywkę paryżan w pierwszych dziesiątkach lat po Wielkiej Wojnie. Małżeństwo jej z Cohen-Martin'em, dziedzicem znanego kantoru wymiany, skojarzyło się zupełnie przypadkowo, podczas jednej z takich właśnie eskapad. Po (cywilnym) ślubie prowadzili wspólnie żywot rozwiązły, dopóki nie poznała Viviana Burne, poczytnego podówczas nowelisty angielskiego. Zakochana na zabój, pozostała mu wierna przez całe dwa lata, Cecyl był żywym jego portretem, podobnym kropla w kroplę do płótna Olgi, zakupionego przez rząd i wiszącego w galerji „Jeu de Paume", w Tuillerjach. Patrząc na chłopca łudziła się, że widzi tamtego... Ten sam owal twarzy... Te same włosy i oczy... Ten sam wykrój warg... Ta sama świeżość cery, niemal dziewczęca...

Raptem zamknęła powieki, rażona odbiciem oślepiającej smugi, która, wytrysnąwszy z hełmu wieży Eiffla, oświeciła znienacka fronton katedry. Inne podobne smugi wybłysły z rozmaitych punktów Paryża i jęły ćwiartować niebiosa, niby ogniste miecze walczących archaniołów. Równocześnie przestwór napełniło żałosne, niesamowite wycie trismegistofonów, instrumentów, któremi policja dawała sygnał wszystkim krążącym nad miastem samolotom cywilnym, aby bezwłocznie wróciły na ziemię. W blasku reflektorów zjawiły się w oddali, hen nad Polem Marsowem, lepidoptery wojenne, lecące z lotniska w Auteuil. Było ich parę tysięcy. Sunęły na różnych poziomach, kluczami, niby żórawie, kierując się na północ.

— A to co takiego? Co znaczy ta parada lotnicza — spytała Olga. — Mamy dopiero maj. Do czternastego lipca, jeszsze daleko...

— Zapewne jakaś manifestacja w związku z dzisiejszą notą kanclerską. Pan Durand—Dupont, minister wojny, pobrzękuje szabelką na znak, że czuwa — odparł Cecyl, zatykając uszy, drażnił go bowiem ryk syren policyjnych.

Dofrunąwszy do placu Etoile, samoloty jęły wypuszczać kolorowe race, salutując zwłoki Nieznanego Żołnierza, spoczywające od lat kilkudziesięciu pod sklepieniem Łuku Tryumfalnego. Zataczając nad miastem olbrzymi krąg, pociągnęły w kierunku kolumny Vendôme, następnie zaś, pozdrowiwszy pomnik Napoleona, podążyły z powrotem na południowy zachód, aby przedefilować nad grobowcem Cesarza. Gdy ostatni z nich minął kopułę Inwalidów, reflektory pogasły, syreny umilkły, w powietrzu załopotały znów lepidoptery, Paryż przybrał zwykły wygląd wieczorowy.

— Robi się chłodno — rzekła Olga, otulając się w szal gestem hiszpańskiej tancerki.—Jeżeli nie wolisz odszukać Jaques'a, to możebyś zaszedł do mego pokoju?

Mówiąc to, uśmiechnęła się zagadkowo, niczem Gioconda.

Oświadczył matce, że czuje się trochę zmęczony, że jutro wcześnie musi iść do szkoły, że wobec tego położy się zaraz spać.

Podawszy sobie ręce po koleżeńsku, pożegnali się lakonicznem „dobranoc".

Olga znikła z Jove'm w głębi mieszkania, syn jej zaś poszedł do siebie, na górę.

„Studio" Cecyla gnieździło się pod samym szczytem wieży. Służyło niegdyś za pracownię malarską jego matce. Wyrzekła jej się dlatego, że nie dochodziły tam windy, Trzeba było piąć się na wielopiętrową wysokość kamiennemi schodkami, skręconemi, jak śruba, o stopniach pośrodku zaklęsłych, wydeptanych stopami pielgrzymów, którzy w ciągu wieków zwiedzili katedrę. Było tam tak ciasno, że całą szerokość pomiędzy ścianami, mogła z łatwością zatarasować jedna osoba. Nawet w biały dzień szło się tam po omacku, wąziutkie bowiem strzelnice, dopuszczające światło, umieszczone były w odstępach bardzo rzadkich.

Przyświecając sobie kieszonkową latarką, Cecyl zanurzył się w czarny komin. Przystając od czasu do czasu, dla nabrania tchu, odcyfrowywał napisy, wydrapane na ścianach przez dawnych turystów. W miarę, jak się oddalał od mieszkania rodziców, ogarniało go poczucie osamotnienia.

Ilekroć odbywał tę drogę, co mu się zdarzało parę razy dziennie, zawsze miał wrażenie, że na najbliższym zakręcie wyłoni się z mroku jednooki łeb garbatego Quasimodo. Ubrdał sobie w dzieciństwie, ze mara pokracznego dzwonnika samobójcy musi pokutować właśśnie w tem przejściu. Jako mały chłopczyk za nic nie chciał chodzić tamtędy, nawet pod opieką niańki mulatki, która już w szóstym roku jego życia wtajemniczała go w praktyki erotyczne i która mu czytywała „Notre Dame de Paris" Victora Hugo, w taniem wydaniu zeszytowem z jaskrawą okładką, kupionem za parę groszy u nadrzecznego bukinisty podczas jednej z codziennych rannych przechadzek do ogrodu Luksemburskiego.

Na zakręcie przedostatnim, pół piętra poniżej stożkowatej budki, osłaniającej przed deszczem górny wylot schodów, Cecyl zatrzymał się przed drzwiczkami, wpuszczonemi w siwy mur, łokciowej w tem miejscu conajmniej grubości. Otworzywszy je wszedł do pracowni.

Froterowaną posadzkę dużego pokoju zaścielał, oprócz dywanu prawdziwego, kwadratowy kobierzec z promieni księżycowych. Wpadały one przez otwór

pośrodku sufitu, przykryty wystającą nad dach piramidą z grubych szyb, cokolwiek przybrudzonych. Skroś tę pokrywę, zazierały ciekawie do wnętrza gwiazdy. Na jej wierzchołku sterczała igła piorunochronu.

Przekręcenie kontaktu rozniecilo cztery opalowe kule, wprawione w sufit po czterech rogach i lampkę na podręcznym stoliku z laki u wezgłowia niskiego, dywanowego tapczanu, zarzuconego mnóstwem poduszek. Cecyl znikł za portjerą przyległej ubieralni, skąd niebawem wyszedł w fantastycznej pyjamie ze staroświeckiej materji futurystycznej, odświeżony tuszem i pachnący mocną wodą kwiatową.

Rzuciwszy się na swoje babilońskie łoże, zagasił światło górne i sięgnął po tomik, oprawny w kość słoniową. Był to rzadki egzemplarz pierwszego wydania „Kwiatów dobrej woli" Juljusza Laforgue, najulubieńszego poety Cecyla, przenoszonego przezeń nad wszystkich innych klasyków XIX wieku.

Brewjarzyk otworzył się na wierszu pod tutułem:

PACIOREK

Ojcze nasz, który jesteś tam, w niebie, stąd z dołu,
Och! — jakże niepojęty w swej nieskończoności!
Chleba nam powszedniego daj dziś, albo, prościej,
Pozwól się troszkę przysiąść do Twojego Stołu.

Powiedz, czemu traktujesz nas, jak małe szkraby,
Których nie można gorszyć Sprawami Ważnemi?
Czemu, jako w niebiesiech, tak i tu na ziemi
Wola Twoja uznaje tylko korne raby?

Nie wódź że się przynajmniej sam na pokuszenie
Całowania się w Serce, które nic nie czuje,
I pozwól nam, natrętne uśpiwszy sumienie,
Śmiać się i paść dowoli brzuch i sycić ruję...

Śmiać się i paść do woli brzuch i sycić ruję...

Przeczytał jeszcze kilka innych wierszy, poczem przekręcił kontakt. Długo nie mógł zasnąć. Nurtował go nieokreślony niepokój. Przewracając się z boku na bok, myślał o tem, co zaszło pomiędzy nim a matką. Właściwie nic nie zaszło. A jednak... Bezsenność rozstrajała mu nerwy coraz gorzej. Zdecydował się zażyć proszek nasenny, który go wreszcie umorzył. Spał źle. Budził się często, zlany potem. Dręczyły go zmory.

— — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — —

Na krótko przed świtem zwlókł się z tapczana. W pokoju było niemiłosiernie duszno. Wyszedł na dach. Ze szczytu wieżycy widok był o wiele rozleglejszy, aniżeli z „Krużganku Chimer". Kolisko horyzontu obejmowało nietylko „ancien Paris", zamknięty Bulwarami Marszałków, lecz także dzielnice nowe, na peryferjach, zabudowane wyłącznie gmachami szklanemi, ostatniem słowem hygieny i wygody.

Gwiazdy już znikły. Pobladły księżyc ledwie majaczył na dniejącem niebie. Na ulicach latarnie pogaszono oddawna. Jedynem światłem na widnokręgu była rubinowa, wieczysta lampa na białej kopule Bazyliki Serca Jezusowego, hen, na Montmartre.

Przechyliwszy się przez balustradę, Cecyl spojrzał pionowo na dolne piętra katedry, robiące wrażenie zaklętego w kamień ogrodu z bajki. Pilastry, kolumienki, gzymsy i podpory kwitły bezlikiem rzeźbionych ornamentów. W gęstwinie rozet, liści, kwiatonów czaiły się skamieniałe maszkary. Zaczynały właśnie w poblasku zorzy, zwiastującej słońce, fiołkowieć, liljowieć, ozłacać się i oblewać rumieńcem życia. Zdawało się, iż lada chwila kwiaty się zakołyszą, potwory zaś poruszą i zaszczekają.

Nagle wszystko zmierzchło ponownie i zmartwiało, nie zdążywszy ożyć. Z za horyzontu wylazła rudo sina chmura, obła, niesamowita. Kłębiła się, niby dym pomieszany z parą nad kraterem wulkanu. Pomykała chyżo, lecz z przestankami, jakby popychana przez rytmiczne fale. Zawłóczyła świat całunem mroku, brzemienna burzą, groźna, nieubłagana. Uśpione miasto wyglądało trupio. Spłoszone stada wróbli pierzchały w rozsypce, wznosząc harmider nie do opisania.

Powietrze było coraz parniejsze. Cecyl dziwił się, że niema wcale wiatru. Bał się wprawdzie burzy, lecz obiecywał sobie orzeźwiającą kąpiel w rzęsistej ulewie. Kiedy czoło chmury dosięgło śródmieścia, w jądrze nastąpiło wyładowanie. Błyskawica rozdarła łono jej zygzakiem od krańca po kraniec. Chłopiec zląkł się piorunu. Pomyślał, że pod dachem byłoby bezpieczniej. Że jednak grzmot był daleki, nie kwapił się z rejteradą, wyglądając z utęsknieniem pierwszej kropli deszczu. W tem zdumiał się, nie wierząc własnym oczom. Na rękawie pyjamy spostrzegł gwiazdeczkę, podobną z kształtu do kryształka śniegu.

Naokół zawirowało więcej takich płatków. Miały one barwę nader osobliwą: zielonawo-szarą. Chwytał je na dłoń, nie czuł wcale zimna. W zetknięciu ze skórą topiły się natychmiast. Nie pozostawiały kropli wilgoci. Parując, wydawały ckliwy zapach apteczny. Prószyły coraz gęściej. Wokół chłopca szalała istna zawieja. Zasypywała Paryż zielonym proszkiem tego samego akurat koloru, co miedziana śniedź na dachach Opery i Magdaleny.

Cecyl poczuł mdłości i zawrót głowy. W piersiach brakło mu tchu. Dysząc ciężko, wchłaniał zamiast powietrza, trujący gaz pruskiej fabrykacji. Porwał się do ucieczki, lecz zrobiwszy krok, zatoczył się, jak pijany i chwycił balustrady, żeby nie upaść. Pojął, że zguba jest nieuchronna, że niema ratunku, że zaraz skona. Wodził naokoło oszalałemi oczyma, nie zdając sobie sprawy, czego wypatruje. Wtem spostrzegł czerwoną lampę na Montmartre. Wyciągnąwszy ku niej z rozpaczą dłonie, runął na kolana. Wychowanek „Nouveau Licée Libre", uczeń apostołów wiedzy bezbożnej, usiłował się modlić. Nie nauczono go nigdy pacierza. Jedynym, jaki znał był „Paciorek" Laforgue'a. Ostatnim wysiłkiem gasnącej świadomości przypomniał sobie:

Ojcze nasz... Wola Twoja... sycić ruję...

— — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — —

Mamrocząc te wyrazy, obudził się w swoim pokoju. Zielony śnieg był tylko snem.

STEFAN JÓZEF GODLEWSKI

LIBERUM VETO

Święto zaduszne nieznanego żołnierza.– Dzień czystego powietrza i głębokiego oddechu.—Kanalizacja błota moralnego w prasie. — Cnota jako zasada Rzeczypospolitej. — Rozczarowania Polaków amerykańskich. — Żniwo p. Zolla.

ŻADEN objaw nie wykazał zdemokratyzowania się społeczeństw nowoczesnych w tej mierze, co hołd nieznanemu żołnierzowi. Cały obszar kultury na obu półkulach ziemi pokrył się pomnikami dla niego, wszędzie złożono mu cześć głęboką i szczerą. Najwięksi bohaterowie w swej pośmiertnej chwale nie dostąpili tylu i takich zaszczytów, nie połączyli w żalu i wdzięczności tak ściśle prawie wszystkich żywiołów społecznych, jak ten skromny, nieznany żołnierz, który walczył i poległ na polach bitew ostatniej wojny. Przypomnijmy sobie najtłumniejsze zgromadzenia i najwspanialsze uroczystości dla okazania pośmiertnej czci najznakomitszym wodzom, czy którykolwiek z tych obchodów zadusznych mógł się porównać ze świętem nieznanego żołnierza? Niema liczniejszego siedliska ludzkiego, niema cmentarza u narodów, które w tej wojnie wzięły udział, gdzie by mu nie złożono hołdu. Za jego bezimienną trumną do bezimiennego grobu pośpieszyły z wieńcami i uczuciami prawdziwego smutku nieprzeliczone tłumy ludzkie, w których zmieszały się wszystkie ich warstwy, wszystkie odmiany zabarwień partyjnych, wszystkie ustopniowania stanowisk. W tem zjednoczeniu zatarły się różnice, znikły sprzeczności, stanęła na wspólnym poziomie stopiona w jedną bryłę cała masa narodu. Najbardziej uwielbianym bohaterem stał się człowiek prosty, pomnożony przez miljony mu podobnych, właściwy i rzeczywisty sprawca zwycięstw, obrońca życia i twórca chwały narodu. Czy w jakimkolwiek objawie posunęła się kiedykolwiek dotąd tak daleko demokratyzacja wzruszeń?

Dzięki jej, dzięki niebywałemu zjednoczeniu się wszystkich pierwiastków społeczeństwa i wysokiemu nastrojowi jego uczuć oddychaliśmy w dzień 2 listopada powietrzem czytem, ożywczem, krzepiącem siły, wyczerpane chorobą i zarazą. Bo w jakże miazmatycznej żyjemy atmosferze moralnej.

Nagłówek jednego z artykułów pewnego pisma brzmi: „Zgniły sejm". A w drugiem czytamy: ktoś w Sejmie ze sprawozdaniem Najwyższej Izby Kontroli w ręku mówił: „Fundusze publiczne bywają w całkiem ordynarny sposób we wszystkich resortach rozkradane lub trwonione. Czy roboty wodne, czy regulacyjne, czy inne, wszędzie jedno wielkie złodziejstwo, a odpowiedzialny kierownik na pisma Izby, żeby przeszkodził, żeby winnych pociągnął do odpowiedzialności, wcale nie odpowiada. Za dzierżawę gruntów kolonji Staszica urzędnicy płacą 8 zł. 96 groszy czynszu, tak że na działkę wiceministra Eberhardta wypada 11 gr. rocznie. W ministerjum spraw wewnętrznych przekroczono budżet o 200,000 zł. a na remunerację urzędników centrali wydano 542,000 zł. W policji państwowej wszystkie zakupy to jedna wielka korupcja. Za olbrzymie sumy kupuje się konie zołzowate, zarażone, bierze się oferty najdroższe, rozpisuje się krótkie terminy licytacji. W wypadkach, kiedy Izbie udało się doprowadzić złodzieja do prokuratora, śledztwo ciągnie się trzy lata, a w wielu wypadkach, gdzie udowodniono złodziejstwo, puszcza się złodzieja wolno" (*Myśl Niepodległa*). Uczciwi urzędnicy dochodzą do rozpaczy wobec ciągłego żądania posłów sejmowych, ażeby ministerja dawały niedozwolone zarobki ich protegowanym, ażeby np. bankrutującym fabrykom oddawano do naprawy wagony, które naprawy nie potrzebują, a ministerjum godzi się dla zyskania poparcia w Sejmie. Jeden z najwybitniejszych polityków, kiedyś kandydat na prezesa gabinetu a nawet prezydenta Rzeczypospolitej, ogłaszany jest w dziennikach jako „najbrudniejszy człowiek w Polsce".

Świeżo zaczęło wychodzić w Warszawie pismo, którego jeden numer zawiera 16 artykułów, wykazujących tyleż przestępstw i nadużyć w rozmaitych ministerjach — i powiada: „jak szeroka i długa Rzeczpospolita nasza pławimy się w jakiemś ohydnym bajorze oszustw, złodziejstw, matactw i krętactw politycznych, prowakacyj najpodlejszego gatunku, a ziejące opary unoszą się nad całem życiem kraju i o zawrót głowy przyprawiają najodporniejszych". W tej zaś Sodomie nieprzerwanym szeregiem zrozpaczeni odbierają sobie życie z niemożności utrzymania go lub wstrętu do niego. Strach zbliżyć się do grobowca żołnierza nieznanego, bo zdaje się, że z pod tej czcigodnej mogiły wydobywa się skarga: „Za to walczyłem i na to umierałem?"

„Zasadą monarchji — powiada Montesquieu, — jest honor a rzeczypospolitej cnota". O, ironjo! Pisma opowiadają, że gdy członkom stronnictwa, domagającym się rozwiązania Sejmu, zwrócono uwagę, iż nazajutrz rozpoczyna się wypłata dyjet poselskich, które straciliby, gdyby ich wniosek dziś został uchwalony, przestali go popierać i pośpieszyli do kasy. To jest cnota naszych republikanów... pięcioprzymiotnikowych!

Zaraza moralna rozpostarła się tak szeroko, że dziś nie ma żadnej sfery społecznej, żadnego stanu, żadnego gatunku ludzkiego, który by się od niej uchronił. Otrzymałem przed chwilą od znanej publicystki polskiej z Ameryki list, opisujący szczegółowo tragedję własną i swoich przyjaciół, którzy na wieść o wskrzeszonej Polsce pośpieszyli do ojczyzny, niosąc jej swoją miłość, swoje doświadczenie zdobyte w kraju śmiałej i przedsiębiorczej energji, swoje zasoby pieniężne, długą oszczędnością zgromadzone. Ci stęsknieni do ojczyzny marzyciele, wierzący, że ona zmartwychwstała w niepokalanej cnocie, rzucili się po amerykańsku do wielkich przedsięwzięć. Zbudowali w Zakopanem hotel, który przed ostatecznem wykończeniem musieli porzucić, straciwszy cały majątek. Inni znów, przyzwyczajeni do rzetelnych stosunków kredytowych w Ameryce, cały przywieziony kapitał, na którym opierał się ich byt, wypożyczyli spadkobiercy imienia, opromienionego chwałą w historji, księciu T. L., który odmówił zwrotu długu i całą rodzinę zamożną strącił w przepaść nędzy. Nie są to wypadki wagi prywatnej i wyjątkowej. Odbija się w nich bowiem cały ten straszny zawód, jakiego doznali Polacy amerykańscy po przybyciu do ojczyzny. Niektórzy zostali w niej rozgoryczeni, inni uciekli do Stanów Zjednoczonych, ażeby tam zagoić rany rozczarowania, a wielu z nich, jak wyżej wspomniani, którzy stracili tu swoje majątki, ażeby tam rozpoczętą nanowo pracą uratować swoje istnienie.

Jest to jeden z najsmutniejszych faktów naszego politycznego — niestety, tylko politycznego — odrodzenia. Polacy amerykańscy, podobnie jak my wszyscy, którzy powitaliśmy wskrzeszoną ojczyznę, upojeni złudzeniami poezji romantycznej, wierzyli, że ujrzą naród wyszlachetniony w długiem męczeństwie, że mu złożą wielkie dary i oddadzą wielkie usługi, zaopatrzeni w obfite środki, zahartowani i uzdolnieni na wychodźtwie do ciężkiej walki z życiem. Cały ten piękny sen rozwiał się po przebudzeniu w rzeczywistości, więc uciekli na dobrowolne wygnanie, unosząc z sobą ból i zwątpienie.

Przesilenie gospodarcze tak zapanowało nad wszystkiemi innemi objawami życia i myślami ogółu, że niedługo będą o niem rozmawiały niemowlęta z mamkami. Potrzeba zwiększyć wydajność pracy, zmniejszyć wydatki prywatne i publiczne, uzyskać kredyt terminowy—oto są główne wątki... bajek Jowialskiego. Opowiada się o nich w artykułach dziennikarskich, broszurach, odczytach, mowach rządowych i sejmowych, a bieda jak kręciła się

około tych punktów, tak ciągle się kręci. Istnieje bowiem w społeczeństwie naszem dostateczna ilość dostatecznie silnych żywiołów, które nie pozwalają, ażeby państwo polskie rosło w potęgę i ażeby naród polski wydobył się z niedoli. Są w niem jednak ludzie zadowoleni— do nich należy niewątpliwie prof. Zoll. W wielokrotnych wywiadach prezes Banku Polskiego wyjaśnił, że ważną przyczyną naszej niemocy gospodarczej jest brak kradytu długoterminowego. Kredyt taki opiera się na zabezpieczeniach hypotecznych. Co warte są u nas dziś zabezpieczenia tego rodzaju, pouczył nas dowodnie przewodniczący komisji do przerachowania długów przedwojennych, który poprostu je przekreślił, przyznawszy wierzycielom urągające słuszności odczepne. Po tej pięknej „waloryzacji" tysiące ludzi i instytucyj znalazło się w położeniu żebraków. Ich przekleństwa i skargi brzmią dotąd, a śród nich odzywa się żądanie długoterminowego kredytu hypotecznego. Czy może być wymaganie bezczelniejsze? Czy może posiadacz jakiejś sumy zbywającej mu od potrzeb niezbędnych, wypożyczyć ją właścicielowi ziemi lub domu wobec przypuszczenia, że ona będzie prędzej czy później „przewartościowana"? Musimy to powiedzieć sobie otwarcie, że kredyt długoterminowy, hypoteczny zniknął w Polsce zupełnie i nie powróci, dopóki żyć będą wspomnienia dokonanego na nim gwałtu. Posiew krzywdy i niewiary wydaje teraz swoje plony, a p. Zoll zbiera z nich obfite żniwo swojej łupieżczej mądrości.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

PRZESZŁOŚĆ „BLIŻSZEJ OJCZYZNY"

MAŁO dotąd mamy wiadomości o tem, jaką rolę w życiu naszego państwa i narodu odegrały nasze miasta i miasteczka. Aczkolwiek nie zdobyliśmy się w przeszłości na utworzenie potężnego rodzimego stanu miejskiego, to należy jednak zastanowić się nad historją miast w Polsce, trzeba wydobyć z zapomnienia wszystko to, co posłużyć może do odtworzenia dziejów miast i miasteczek, choćby tylko dla tego, aby w przyszłości nie popełniać dawnych błędów.

Posiadamy już coprawda próby przedstawienia dziejów miast i życia miejskiego w Polsce, lecz prace te są niedostateczne. Trzeba się zabrać do badania historji każdego miasta i miasteczka z osobna.

Dotąd posiadamy zaledwie historję kilku ważniejszych naszych miast; reszta nawet jako tako prowadzonej kroniki miejskiej nie posiada. Należy się więc zabrać do pracy; trzeba wydobyć materjały do historji kupiectwa, przemysłu, cechów, handlu itp. ze starych dokumentów i ksiąg, z zapisków urzędowych i prywatnych, z aktów notarjalnych i sądowych. Trzeba uwzględnić istniejące w archiwach i bibljotekach stosy manuskryptów i starych druków, które wydobyte z zapomnienia i wszechstronnie przestudjowane, cennego powinny dostarczyć materjału.

Pokazał niedawno Leon Białkowski w swej broszurze: „Szkice z życia Wielkopolski w XII wieku", że z suchych napozór aktów sądowych wydobyć można przebogate skarby wiadomości, dotyczących obyczajów, kultury i życia dawnej Polski.

Uczeni zaborców, podczas naszej niewoli, wyręczali nas w opracowaniu dziejów naszego mieszcznństwa (Dr. Warschauer: „Historja miast i mieszczaństwa Wielkopolski") lecz praca ich była tendencyjna. Dziś należy zbadać wszystkie te dokunenty, które Niemcy zbagatelizowali lub nawet pominęli, jako pomniki polskości miast, znajdujących się pod ich panowaniem.

Wyciągajmy zapomnienia pyłem okryte kroniki miejskie i rodzinne, księgi parafialne i księgi ludności, znajdujące się w każdej parafji, i na podstawie tego materjału, uzupełnionego przez rezultaty badań pomników architektury i sztuki, odtwarzajmy zapomniane dzieje naszych miast i miasteczek.

Kto powinien zająć się tą pracą? Nawet najmniejsze miasteczko może poszczycić się tem, że posiada wśród swych obywateli jakiegoś inteligenta z wyższem wykształceniem i umiłowaniem przeszłości. Zwłaszcza inteligenci, pochodzący z owych miasteczek powinni uważać za swój obowiązek zabranie się do takiej pracy. Przez zbadanie i spisanie wszystkiego tego, co stanowi historję miasteczka, jego rodzin, ustroju społecznego, życia miejskiego, handlu, rękodzieła, kultury, narodowości, religji, i t. d., złożą oni hołd należny swej bliższej „małej Ojczyźnie" a przysłużą się nauce polskiej i całej Rzeczypospolitej. Praca to wdzięczna i zajmująca, bo któż może być obojętny wobec przeszłości swego miasta rodzinnego, swego gniazda, z którego pochodzi.

Dzienniki i czasopisma miejscowe nie poskąpią miejsca takim pracom. Z czasem zapewne znajdzie się jakieś towarzystwo lub firma nakładowa, która stworzy bibljoteczkę specjalnie historji naszych miast poświęconą.

Dla nacjonalistów, mocno związanych z ziemią ojczystą, a pragnących dzieje swego narodu bliżej poznać i głębiej zrozumieć, zagadnienie tu poruszone jest szczególnie ważne i aktualne.

TADEUSZ PIETRYKOWSKI

KTO PONIESIE ODPOWIEDZIALNOŚĆ?

W CELU zmontowania machiny rewolucyjnej w Polsce, w celu należytego zorganizowania „roboty", przybył do nas pierwszorzędny dygnitarz partji komunistycznej. Nazwisko jego znane, jak nazwiska Dzierżyńskiego, Marchlewskiego, Kohna, Unszlichta. Szef propagandy rewolucyjnej na Polskę, niszczyciel żywiołu polskiego w Rosji, współwinowajca zamordowania braci Lutosławskich, współpracownik panów Lednickich *et consortes*, Juljan Leszczyński. Oczywista, dygnitarz ten przybył do nas pod przybranem nazwiskiem, za fałszywym paszportem, jako Juljan Laskowski. Robota szła w Polsce bez przeszkód, i tylko ślepy traf zdarzył, iż rzekomy pan Laskowski został „nakryty" w mieszkaniu jakiegoś pośledniejszego „towarzysza" w Dąbrowie Górniczej. Policja nie zdawała sobie sprawy, kogo dostała w swe ręce. Widoczne tylko było, że aresztowany ma paszport fałszywy, więc przekazano go sędziemu śledczemu Przewłockiemu w Sosnowcu. Dopiero sędzia śledczy powziął podejrzenie, że pod nazwiskiem Laskowskiego ukrywa się znany komunista. Osobę Leszczyńskiego zna w Polsce szereg jego „ideowych" przyjaciół i współpracowników z doby niszczenia polskiej siły zbrojnej w Rosji.

Upłynęło kilka miesięcy, zanim udało się sędziemu śledczemu stwierdzić, że osoba Leszczyńskiego znana jest kilku oficerom. W celu skonfrontowania wię-

żnia z tymi świadkami należało przesłać aresztowanego do Warszawy, do rozporządzenia Prokuratora Sądu Okręgowego warszawskiego.

I tu stała się rzecz nieoczekiwana, nadzwyczajna. Pisma doniosły, że Leszczyński „zbiegł". Zbiegł nie w drodze, podczas transportu, lub z więzienia. Zbiegł dopiero wówczas, gdy dostał się bezpośrednio w ręce władz sądowych, uciekł z kancelarji sędziego śledczego. Jednocześnie pisma podały szczegóły, które sprawiają takie wrażenie, jakby opowiadanie o „ucieczce" było tylko maskowaniem faktu, że Leszczyński został poprostu wypuszczony przez sędziego na wolność. Aresztanta wprowadzono do kancelarji bez ochrony straży i po dokonaniu pewnej formalności, kazano mu wyjść. Leszczyński wyszedł... Nie potrzebował „biec" ani „ukrywać się", ponieważ nikt go nie ścigał. Znalazł odrazu skuteczną opiekę i pomoc, a z pewnością i przygotowany nowy, fałszywy paszport, gdyż spokojnie przejechał całe państwo i bezpiecznie przekroczył granicę bolszewicką.

Rzecz dziwna, nie czytaliśmy w pismach wiadomości, że ucieczka tak interesującego więźnia wywołała natychmiastowy pościg i szereg koniecznych zarządzeń na granicy, albo poszukiwania w domniemanych miejscach pobytu zbiega. Nie podano nam takich informacyj, choćby tylko dla uspokojenia wzburzonej opinji. Natomiast zostaliśmy zasypani szczegółami o niedbalstwie aplikanta Sztrancmana, o roztargnieniu panny aplikantki, o lekomyślności policjanta, który „czytał gazetę". Niekiedy szczegóły te były podawane z wyraźnem zaznaczeniem, że pochodzą „ze sfer prokuratorskich". Wśród naganki na najbliższych, ale drugorzędnych winowajców, przemilczano i zapomniano o źródle i przyczynie ich winy. Mam na myśli postępowanie warszawskiej Prokururatury.

Już baczniejsze przyjrzenie się temu, co działo się w kancelarji sędziego śledczego, daje dużo do myślenia.

Nie będę wymieniał tu wszystkich uchybień, popełnionych przez sędziego śledczego, dzienniki bowiem szeroko je omówiły. Wspomnę o niektórych. Na podstawie przepisów badanie aresztantów przez sędziego śledczego winno się odbywać w więzieniu, a nie w kancelarji sędziego. Tembardziej, gdy chodzi o więźnia niezwykłego, wymagającego specjalnej czujności władz. Następnie, nawet małych, codziennych bolszewików sprowadza się na salę sądową pod wzmocnioną eskortą, w słusznej obawie ucieczki, lub odbicia ich po drodze przez komunistyczne bojówki. Możnaby mniemać, że skoro się Leszczyńskiego, wbrew prawu, wyprowadza z więzienia, będą przynajmniej zastosowane normalne środki ostrożności. Tymczasem opiekę nad Leszczyńskim obejmuje jakiś jeden policjant, będący dopiero od tygodnia w służbie. Sceny, które się rozegrały w biurze pana Sztrancmana dają wiele do myślenia. Skąd się wziął ten łańcuch „zaniedbań", z których nie zostało zapomniane i pominięte żadne uchybienie, będące koniecznem ogniwem dla ucieczki Leszczyńskiego? Czy zaniedbania te zaczynają się dopiero w kancelarji pana Sztrancmana, czy początek i źródło ich nie znajduje się gdzieindziej?

Tu muszę przytoczyć niektóre przepisy obowiązującej Ustawy postępowania karnego, celem wyjaśnienia, o ile czynności sędziego Sztrancmana można uważać za samodzielne i jego tylko osobę obciążające odpowiedzialnością. Z mocy tej ustawy, prokurator odgrywa w czynnościach śledczych rolę tak przeważającą, że sędzia śledczy staje się raczej organem wykonawczym władzy prokuratorskiej, niż samodzielnym sędzią. Wykonuje on czynności wyraźnie „pod dozorem prokuratora" (art. 249), prokurator „ma stały nadzór nad prowadzeniem śledztw" (278). O każdej ważniejszej czynności śledczej sędzia musi zawiadamiać prokuratora, czy to będzie rozpoczęcie czy zakończenie śledztwa, czy aresztowanie poszlakowanego, czy zwolnienie z aresztu. W sprawie aresztowania i zwolnienia prokurator ma prawo postawienia sędziemu odmiennego wniosku (283—5), a we wszystkich wogóle kwestjach, dotyczących przestępstwa i zebrania dowodów, sędzia śledczy musi bez oporu wykonywać wszelkie prawne żądania prokuratora (281). Nie dość na tem. Prokurator ma prawo być obecnym przy wszystkich czynnościach śledczych (280). To też aktom kancelaryjnym sędziego śledczego odpowiadają równolegle akta „nadzorcze" prokuratora, wykonującego „dozór" nad śledztwem.

Jakżeż pan Rudnicki, prokurator Sądu Okręgowego w Warszawie, wykonał swoje uprawnienia i swoje obowiązki? Czy otrzymawszy do swych rąk domniemanego Leszczyńskiego, porozumiał się z ministrem sprawiedliwości i prokuratorem apelacyjnym, niewiadomo. Sprawozdania pism o tem milczą.

Czy, dalej okazał on chęć i zamiar zobaczenia pana Leszczyńskiego, asystowania przy jego badaniu i przy konfrontacji z oficerami Sztabu? P. Rudnicki uchylił się od wykonania tego obowiązku. Natomiast wyjechał na występ gościnny do obcego okręgu sądowego, delegowany do wygłoszenia mowy w sprawie Muraszki. Może więc prokurator polecił jednemu ze swych pomocników, podprokuratorów czuwanie nad sprawą Leszczyńskiego i asystowanie przy czynnościach śledczych? Jak widać ze sprawozdań prasy, i tego zaniedbał. Jego postępowanie wyglądało, jak manifestacja stanu „życzliwej neutralności" w stosunku do osoby Leszczyńskiego. W rezultacie cała sprawa pozostała bez ingerencji jakichkolwiek władz prokuratorskich. Pozostała całkowicie i wyłącznie w rękach pana Sztrancmana.

Dzisiaj dokoła win i uchybień pana Sztrancmana i panienki-aplikantki czyniony jest w prasie wielki hałas, pochodzący niekiedy wyraźnie „ze sfer prokuratorskich" (vide dziennik „Rzeczpospolita"). Słychać, że aplikantowi Sztrancmanowi ma być wytoczony proces z art. 636 k. k., o „bezczynność władzy". To wszystko przypomina znane przedwojenne procesy kolejowe, z typowym „zwotniczym", zawsze wyłącznym sprawcą wypadku.

Ześrodkowanie całej sprawy na osobie pana Sztrancmana nie może uspokoić opinji publicznej, ponieważ ucieczka Leszczyńskiego wywołała w najszerszych warstwach daleko idące komentarze, bardzo niepożądane dla sądownictwa w Polsce. Nie da się w nikogo wmówić, aby liczni i wpływowi przyjaciele i współpracownicy Leszczyńskiego z Rosji, nie bolszewicy, oraz czynniki komunistyczne w Polsce obojętnie zachowywały się wobec uwięzienia Leszczyńskiego i nie czyniły starań celem jego uwolnienia. Jeżeli Leszczyńskiemu sądzone było zbiec, to należy nad wyraz ubolewać nad faktem, że ucieczka tego więźnia nastąpiła właśnie z pod oka prokuratora i sędziego śledczego, w stolicy Państwa, a zbrodniarz odzyskał wolność w drodze niezgodnego z prawem postępowania władz sądowych. Jeżeli do powyższego dodamy bezczyność władzy, przejawioną już po ucieczce więźnia, to niepokój opinji dochodzi do szczytu. Ze sformułowaniem swego ostatecznego zdania musi się ona jednak powstrzymać do czasu, kiedy okaże się, czy wyższe władze wymiaru sprawiedliwości w Polsce mają odwagę, i powiedzmy wprost, siłę, sięgnąć w głąb sprawy, nie ograniczając się tylko do skromnej osoby — aplikanta.

STEFAN DOBRZAŃSKI

PRZEGLĄD POLITYCZNY

O METODZIE

CZŁOWIEK, stojący zdala od polityki, skromny czytelnik gazet, gdy co kilka dni znajduje w dziennikach wiadomość: „Klub Wyzwolenia znów rozpoczął hałaśliwą obstrukcję“... myśli zapewne nie bez zgorszenia i lekkiego jednocześnie podziwu: „Ależ ci ludzie mają jednak temperament!“. Oczyma wyobraźni widzi na ławach „Wyzwolenia“ typy pierwotne może, barbarzyńskie, ale miotane potężnemi namiętnościami, nieokiełzane, gwałtowne, niczem groźni, krwawi bohaterowie starogermańskich mitów. Zdziwiłby się też wielce, gdyby zobaczył, z jakiem znudzeniem, z jak bezgraniczną obojętnością owi obstrukcjoniści uderzają miarowo w pulpity, gdyby usłyszał, jak bezdźwięcznym, beznamiętnym głosem rzucają w równo odmierzonych odstępach czasu okrzyk „Hańba“! Ale zdziwienie to skłoniłoby go może do rozważań nad pewnemi swoistemi cechami naszego parlamentaryzmu, z których, niestety, opinja polska nie zdaje sobie dotąd jeszcze należycie sprawy.

Nikt nie wątpi np. że w dzisiejszym Sejmie polskim rozstrzyga wola większości. Pogląd ten opiera się zresztą na wyraźnem brzmieniu art. 32 Konstytucji, niedwuznacznie stwierdzającego tę zasadę oraz określającego wypadki specjalne, wymagające t. zw. większości kwalifikowanej. Tymczasem zapoznanie się z historją niektórych głosowań w Sejmie prowadzi do wniosku, że niezależnie od tych przepisów prawa pisanego wytwarza się prawo zwyczajowe, w myśl którego zastosowanie obstrukcji tak dalece zwiększa powagę mniejszości, że zmusza większość do wejścia na drogę kompromisu i częściowego przynajmniej ustąpienia z zajmowanego poprzednio stanowiska.

Zastosowanie tego — jeśli się tak wyrazić można — „zwyczaju konstytucyjnego“ obserwować było można z całą dokładnością właśnie w ciągu ubiegłego tygodnia, przy sposobności głosowań Sejmu nad poprawkami Senatu do ustawy o reformie rolnej.

Ponieważ już przy pierwszych głosowaniach „Wyzwolenie“ chwyciło się „taktyki obstrukcyjnej“, min. Radwan i marszałek Rataj podjęli akcję pośredniczą. Akcja ta nie dała jednak rezultatów i na posiedzeniu dn. 5 listopada „Wyzwolenie“ zaostrzyło jeszcze swą obstrukcję. Pos. Poniatowski postawił wniosek o odroczenie głosowania, gdy zaś wniosek ten upadł, „Wyzwolenie“ rozpoczęło tupanie, bicie w pulpity itp. Odtąd wszystko poszło zgodnie z ustalonym zwyczajem. Marszałek Rataj zgodnie ze zwyczajem nie zastosował surowszych represyj, ale zamknął posiedzenie, zwołując jednocześnie konwent senjorów dla naradzenia się nad „znalezieniem sposobu wyjścia z sytuacji“. Na konwencie przedstawiciel P.P.S., pos. Barlicki, oświadczył, że „w sytuacji, jaka się wytworzyła“, należałoby sprobować kompromisu (t. j. większość powinna poczynić ustępstwa na rzecz hałasującej mniejszości), pośrednictwo zaś w tej sprawie powinien ująć w swe ręce marszałek Rataj. Wniosek ten poparł w imieniu ludowców pos. Kiernik, zaś marszałek Rataj oświadczył, że chętnie podejmuje się pośrednictwa, odkładając jednocześnie posiedzenie do dnia następnego. Mimo sprzeciwu Zw. Lud. Nar., Chrz. Dem. i Chrz. Nar. odroczenie posiedzenia uchwalono.

Na konferencji, która nazajutrz odbyła się u marszałka, do „kompromisu“ nie doszło i na posiedzeniu dn. 6 listopada przegłosowano, pomimo — łagodniejszej zresztą — opozycji „Wyzwolenia“, kilka dalszych artykułów ustawy. Ale jedno pozostaje faktem niewątpliwym, faktem, nad którym głębiej warto się zastanowić: na posiedzeniu dn. 5 listopada r. b. Sejm większością głosów odrzucił wniosek pos. Poniatowskiego o odroczenie głosowania, zaś w pół godziny potem ten sam wniosek został przez Sejm przyjęty dlatego tylko, że „Wyzwolenie“ rozpoczęło hałaśliwą obstrukcję. „Taktyka obstrukcyjna“ dała rezultaty praktyczne, natychmiastowe.

I tu właśnie szukać trzeba wytłumaczenia częstego stosowania obstrukcji zarówno przez „Wyzwolenie“, jak i niektóre inne ugrupowania sejmowe. „Hałaśliwa obstrukcja“ nie jest wyrazem ani temperamentu, ani gwałtownego wzburzenia czy oburzenia, jest metoda, zimno, spokojnie stosowaną dla osiągnięcia tych czy innych partyjnych korzyści. Fakty stwierdzają, iż jest to metoda skuteczna, a staje się nią dlatego, że pośrednio czy bezpośrednio, świadomie czy nieświadomie, sankcjonowana jest nietylko przez szereg stronnictw sejmowych, lecz nawet przez te czynniki, które z natury rzeczy właśnie do wytwarzania precedensów i „zwyczajów konstytucyjnych“ są powołane. Cóż dziwnego, że w tych warunkach metoda obstrukcji coraz częściej bywa używana? Jest skuteczna, a przytem dostępna, stosować ją może niezależnie od stopnia inteligencji każdy poseł, każde stronnictwo...

Zadaleko zaprowadziłoby badanie przyczyn, wytwarzających w Sejmie stosunki, w których obstrukcja staje się metodą praktyczną i możliwą. Zbyt daleko powiodłoby rozważanie, czy dopuszczanie do stosowania tej metody wynika z przyczyn głębszych, z utraty wiary w zasadnicze podstawy ustroju parlamentarnego, czy też poprostu jest wyrazem słabości i niedopuszczalnego przerostu „względów taktycznych“. Ale fakt istnienia metody obstrukcyjnej i jej skuteczności jest niewątpliwy. Narazie wystarczy jasno stwierdzić ten fakt i jego skutki, bijące... w pulpity.

IGN.

NAUKA I LITERATURA

PISMA OJCÓW KOŚCIOŁA

W DZIEDZINIE filologji starożytnej jeden dział przez długi czas leżał u nas odłogiem; była to t. zw. patrystyka, czyli badanie dzieł pisarzy starochrześcijańskich. Podczas, gdy we Francji, Anglji i Niemczech na tem polu pracują najtęższe siły filologiczne, uczeni o sławie światowej, ludzie świeccy, u nas wciąż pracę tę uważa się za obchodzącą tylko księży; kilka rozpraw uczonych świeckich (o Grzegorzu z Nazjanzu, Boecjuszu, Janie Chryzostomie), umieszczonych przeważnie w czasopiśmie filozoficznem „Eos“, nie mogło znaleźć czytelników wśród szerszej publiczności. Jednego mieliśmy tylko niezrównanego specjalistę na tem polu, który zdobył sobie wielką sławę zagranicą, a pewną poczytność i wśród ludzi, nie będących zawodowymi filologami; był nim nieodżałowany ś. p. prof. Adam Miodoński. Rzewną pamięć poświęcił mu w przedmowie do „Schyłku literatury rzymskiej“ koryfeusz naszej filologji, prof. Morawski, wyrażając żal, że nie przyszło do skutku zamierzone przez Miodońskiego dzieło — wydanie i opracowanie dzieł piśmiennictwa chrześcijańskiego.

Atoli świeżo zgasły wielki uczony doczekał się jeszcze przed śmiercią częściowego spełnienia wspomnianych zamierzeń. Oto nakładem księgarni uniwersyteckiej w Poznaniu zaczęły wychodzić „Pisma Ojców Kościoła w polskim tłumaczeniu“, opracowane przez świetnych naprawdę znawców tej dziedziny naukowej. Inicjatorem tej myśli, a jednocześnie naczelnym redaktorem wydawnictwa jest dr. Jan Sajdak, prof. uniwersytetu poznańskiego. Zasłużony ten filolog, znany z sumienności w badaniach, niedarmo jest uczniem Morawskiego i Miodońskiego, to też wydawnictwo postawił na bardzo wysokim poziomie, mogącym się śmiało mierzyć z najwspanialszemi wydawnictwami zagranicznemi.

Dzięki niemu będziemy mieli w Polsce swój „Corpus scriptorum ecclesiasticorum“ i to o tyle lepszy, że podany w szacie polskiej i uwzględniający najnowsze zdobycze wiedzy naszej i obcej.

Zapowiedzianych jest już kilkanaście tomów tej publikacji; dotychczas wyszły pierwsze trzy tomy. Rozpoczęto (z wieku i z urzędu) „Pismami Ojców Apostolskich“; tak się nazywa tych pisarzy, którzy naukę swą brali wprost z ust Apostołów, a więc: Barnabę, Klemensa, Ignacego z Antjochji i Polikarpa. Są to, jakby się wyrazić, przeważnie broszury aktualne z najwcześniejszej doby chrześcijaństwa, pisane po grecku, ale stylem prawie, że biblijnym; pełne są ognia i entuzjazmu, a równocześnie wielkiej prostoty. Wydawca ich, ks. prof. A. Lisiecki, postarał się o utrzymanie wierności tekstu, jaką często nie mogą się poszczycić nawet najlepsze wydania zagraniczne.

Tę samą zaletę ma i jego opracowanie pierwszej „Historji Kościoła“, napisanej za Konstantyna przez Euzebjusza z Cezarei. Pisarz to zgoła innego typu; powiedzielibyśmy, zupełnie nowożytny. Imponuje nam wprost obfitością zebranego materjału, a co ważniejsza, niepospolicie bystrą krytyką źródeł. A ma też wielki talent pisarski, co sprawia, że jego dzieło czyta się z tchem zapartym, czy to opowiada o męczeństwach chrześcjan, czy kreśli sylwetkę genjalnego Orygenesa, czy unaocznia nam ogromne zmiany, jakie się dokonywały w ustroju wielkiego imperjum rzymskiego.

Jednem z arcydzieł literatury nietylko chrześcijańskiej, ale i klasycznej, jest djalog Minucjusza Feliksa p. t. „Oktawjusz“. Dziełko to (z którego korzystał Sienkiewicz, pisząc „Quo vadis“), choć powstało w II (czy może III-im) w. po Chrystusie, ma wszelkie cechy doskonałości klasycznej i dorównywa djalogom Platona czy Cycerona—niedarmo nazwano je „aureus libellus“; treścią jego jest apologja chrześcijaństwa wobec doktryn pogańskich, a tłem — piękny krajobraz nadmorski. Tłumacz djalogu, prof. Sajdak, poprzedził swój przekład wybornym wstępem, który podaje najpierw zarys dziejów apologetyki chrześcijańskiej, a następnie zajmuje się oceną literacką i filologiczną samego dziełka, przyczem na uwagę zasługuje zwłaszcza wyświetlenie spornego dotąd stosunku Minucjusza do Tertuljana.

Wszystkie trzy tomy zaopatrzone są szczegółowemi komentarzami, ułatwiającemi zrozumienie treści nawet profanom, oraz skorowidzami, ułatwiającemi orjentację. Dotychczasowej całości należy powinszować wydawcom; może się nią chlubić przed zagranicą nauka polska.

JÓZEF BIRKENMAJER

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Wyszła w tych dniach zapowiedziana przez nas książka Stanisława Pieńkowskiego „Maski życia“. (Nakład księgarni Perzyński, Niklewicz i sp. Str. 160 w dużej ósemce). Jest to wybór rozpraw tego pisarza z lat 1910—1920, przeważnie z dziedziny filozofji piękna i sztuki. Ważniejsze szkice: Maski życia, Rozłam sztuki, Człowiek w artyście, Duch w sztuce, Meduza dziejów, Dwie prawdy, Zadania krytyki, Nowa sztuka, Psychologja sonetu i uty, Odwagą i kolor, Karykatury, Patos i etos architektury, Witold Wojtkiewicz, Ramię dostojne, Kultura gustu. W poszukiwaniu pana, Pożar we dworze. Całość niezmiernie interesująca, jedną myślą związana, pisana świetną prozą, stanowi cenny nabytek piśmiennictwa polskiego.

*

Dobrą myśl miała redakcja krakowskich „Sztuk Pięknych“, poświęcając ostatni (październikowy) numer miesięcznika twórczości Stanisława Wyspiańskiego. Skromny to, ułamkowy hołd twórcy franciszkańskich witrażów, ale widać, że szczerym podyktowany pietyzmem. Bardzo szczęśliwy był pomysł zwrócenia się o artykuły — wspomienia do najbliższych przyjaciół Wyspiańskiego: dr. Adama Chmiela i Karola Maszkowskiego. Zwłaszcza krótkie wspomnienie Maszzkowskiego „U madame Charlotte“ wiele szczegółów chroni od niepamięci, a ponieważ o Wyspiańskiego chodzi, nawet drobny szczegół ważny się staje i drogi.

Od prostych, serdecznych wspomień dr. Chmiela i Maszkowskiego odbija napuszony nieco artykuł Stanisława Przybyszewskiego "Exegi monumentum“. Gdy się pisze o takim, jak Wyspiański, genjuszu, najwłaściwszym wyrazem hołdu jest — prostota.

Liczne dość, zamieszczone w numerze, reprodukcje nie dają, bo dać nie mogą, właściwego pojęcia o twórczości malarskiej Wyspiańskiego, są jednak dobrane starannie, a dla tych, co dzieło Wyspiańskiego znają, cenne będą stanowić przypomnienie.

*

(t.) W najbliższym czasie ukaże się (nakładem Towarzystwa Miłośników Książki) rozprawa Jana Dürra, autora szeregu cennych rozpraw o Wyspiańskim, p. t. „Jakiego Wyspiańskego znamy“. Przyniesie ona wiadomości o nie zarejestrowanych nigdzie dotychczas w druku autografach utworów już publikowanych, a nie znanych redaktorom świeżo rozpoczętego wydania zbiorowego dzieł Wyspiańskiego, — oraz o pewnej ilości ineditów. W związku z tem poddane zostaną, jak się dowiadujemy — należytej ocenie metody wydawnicze, któremi się posługiwano przy wydawaniu utworów poety w najnowszej zbiorowej edycji jego Dzieł.

*

Serce rośnie patrzącemu na pięć zgrabnych, wytwornie wydanych zeszytów krakowskiego czasopisma bibljofilskiego „Silva Rerum“. (Miesięcznik T-wa Miłaśników Książki. Kraków 1925). Ostatni, spóźniony nieco powakacyjny numer rozpoczyna rozprawka prof. I. Chrzanowskiego: Pierwsza redakcja noweli Sienkiewicza „Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela“. Świetny znawca Sienkiewicza wykazuje różnice między pierwszą redakcją noweli, zatytułowanej zrazu: „Z pamiętnika korepetytora warszawskiego“, a wydaniem książkowem, ocenzurowanem w Warszawie, p. t. „Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela“. Dalej znajdujemy prace uczniów prof. Chrzanowskiego, dziś już profesorów uniwersytetu: Pigonia S., Kołkierskiego W. i Pollaka K. wszystkie, poświęcone swemu Mistrzowi w piętnastą rocznicę jego pracy profesorskiej. W dziale Pokłosie, tłoczą się wprost rozmaite, zawsze ciekawe i ze znawstwem zestawione artykuliki, np. dr. Bara: Zapiski więzienne J. I. Kraszewskiego; rzecz o W. Gomulickim, W. Borowego i in. Bibliographica i ruch antykwarski rejestruje i omawia wiecznie czynny znawca ksiąg, zapamiętały „szperacz“ bibljoteczny, p. Kaz. Piekarski, redaktor Exlibrisu. Jego zabiegom w dużej mierze zawdzięczamy rozrost pięknych wydawnictw bibljofilskich w Krakowie.

*

(t.) Młody krytyk krakowski p. W. Doda, autor drobnych prac o Sienkiewiczu i Reymoncie wydaje w b. r. rodzaj rocznika literackiego p. t. „Literatura Polska w roku 1924. Bilans bibljograficzno-krytyczny“. Omówi w nim autor cały dorobek wydawniczy z ub. r. P. Doda zamierza stale wydawać tego rodzaju roczniki. Na uwagę zasługuje zestawienie kilkuset ważniejszych artykułów literackich, które się ukazały w prasie. Książkę poprzedzi przedmowa, charakteryzująca literaturę w Polsce odrodzonej.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

W najbliższym czasie ma się ukazać u wydawcy Perrin książka ministra pełnomocnego Francji, p. H. Soulange-Bodin p. t. „*A travers l'Europe*“. Zawiera ona obszerny rozdział, poświęcony Polsce, który zamieściła „*Revue Hebdomadaire*“. Autor skreśla w krótkich słowach przeszłość Polski, ale głównie podkreśla ogrom dzieła, dokonanego przez całe społeczeństwo od chwili podpisania traktatów pokojowych. Polska, twierdzi p. Soulange-Bodin prowadzi politykę rozważną wobec Niemiec i Rosji, pojednawczą zaś wobec innych sąsiadów. Rezultaty odbudowy ekonomicznej kraju są wprost „nieoczekiwane, bezpośrednie, zdumiewające“. Polska opiera się przytem na silnej armji, której część otrzymała chrzest ognia na francuskiej ziemi. To też Polska — zdaniem p. Soulange-Bodin — jest dzisiaj realną siłą i jako taka jest nieodzowna dla utrzymania obecnego stanu rzeczy, nietylko w Europie Środkowej, ale wogóle w Europie. „Powinniśmy więc — pisze — zazdrośnie czuwać nad jej bezpieczeństwem“, w przeciwnym bowiem razie moglibyśmy kiedyś drogo opłacić jego naruszenie.

*

P. Georges Clemenceau przygotowuje obecnie do druku książkę p. t. „*La Vie de Demosthène*“. Ma ona być najpierw opublikowaną na łamach „*Illustration*“ potem zaś wyjść u Plon Nourrit w zbiorze „*Nobles vies, grades oeuvres*“.

*

W Paryżu powstało Stowarzyszenie *des Bibliographes régionaux*, które ma wydawać cały szereg dzieł wyborowych, odnoszących się specjalnie do prowincji francuskich lub do niektórych krajów, z Francją sprzymierzonych. Książki te, wydane zbytkownie, mają być ilustrowane przez artystów albo z danej prowincji pochodzących lub też dokładnie z nią obeznanych. Stowarzyszenie obrało sobie za dewizę: „*Chacune do nos provinces a son chef-d'oeuvre*“. Dyrektorami działu literacko-artystycznego są Marius-Ary Leblond. Pierwszy tom tego wydawnictwa ma być poświęcony Reims i Szampanji. Pomiędzy innemi, należy wymienić powieść wierszem znanego poety Francis-Jammes o jego rodzinnej prowincji Le Bearn, zatytułowaną: „*Jean de Noarieu*“ oraz książkę Camille Lemonnier „*Le vent dans le Moulin*“.

*

Firma Albin Michel wydaje niezmiernie ciekawą książkę p. Camille Mauclair p.t. „*Le genie d'Edgar Poe*“, obejmującą

całokształt twórczości wielkiego pisarza w związku z jego życiem i metodą pracy. P. Mauclair, podobnie jak inni obrońcy Poe'go, zwalcza oszczercze o nim legendy, podkreślając jednocześnie duży wpływ jego twórczości na Francję. Wielki poeta, Charles Baudelaire, dokonał, jak wiadomo, w swoim czasie pierwszego tłumaczenia dzieł Poe'go na język francuski.

*

P. Rosny Jeune pisze powieść o Czechosłowacji. Celem zebrania materjałów i zapoznania się z krajem, udał się on osobiście do Czech, gdzie został entuzjastycznie przyjęty. P. Rosny Jeune przygotowuje też wspólnie z P. Gustave Geffroy sztukę teatralną.

TEATR

„ŻEGLARZ" JERZEGO SZANIAWSKIEGO

TEMATEM dzieła dramatycznego, które Jerzy Szaniawski wystawił w zeszłym tygodniu w teatrze Narodowym, jest legenda. Temat bliski jak powietrze, ale jak ono nieuchwytny. Legenda jest atmosferą, w której żyjemy i z której żyjemy. Ona się wciąż rodzi jak mgła i zasnuwa swem przędziwem dzieje. Światło rozumu usiłuje ją spędzić, ale zrana i na odwieczerz, gdy długie cienie nadają rzeczom podwójną, fantastyczną postać, legenda wraca. A która ostanie się na trwałe, to już żyje po wieki wieków. Ponieważ legenda snuje się za człowiekiem i nie przeszkadza jego rękom, garnącym przyszłość, owszem potęguje jego siłę rzutu, jako dziedzica przeogromnej przeszłości—tedy legenda prosperuje, nawet twardnieje w kształt, nadawany jej przez artystów, odżywiając naszą psychikę potężnym czynnikiem tradycji. Z czegobyśmy snuli przyszłość, gdyby nie magazyn pamięci?

Legenda żyje prawem pieśni gminnej. Ona jest trwalsza i realniejsza, niż życie samo.

Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje —
Pieśń ujdzie cało...

Ponieważ legenda, jak pieśń, „tłum ludzi obiega" i należy do tworów wyobraźni zbiorowej, staje się więc ona głównym materjałem tej przędzy, z której powstaje psychika narodu. Inne postaci życia społecznego nie śnią, nie pamiętają; organicznie, jak jednostka, żywie tylko naród. On pamięta, on syci legendą swoją jaźń (—my, naród), a w miarę wyjaśnienia się świadomości dziejowej, gdy coraz przytomniej i celowiej dzieje wykuwa, porządkuje ten bagaż dziedziczny w procesach samowiedzy.

Naród wyrasta z legendy. Póki żyje, ciągnie za sobą jej świetlistą, wyzłacaną w poezji wspomnień smugę. Ona jest arką przymierza między dawnemi i młodszemi laty. W niej naród składa broń swego rycerza, swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty. Żaden nie złamie jej cios, nie spustoszy jej krzyżak, płomień nie zgryzie. Aby jej tylko własny lud nie znieważył! Ona stoi na straży narodowego pamiątek kościoła i duszę narodu archanielskiemi skrzydłami ochrania od rozpłynięcia się w pustkę Czasu.

Jak u jednostki, tak i w zbiorowej psychice plazmą, życia duchowego są zasoby pamięci, na które się złożyły przeżycia. Psychologja społeczna uczy, że im bardziej materjał pamięciowy jest surowy, tem łatwiej o mgłę legendy, tem szerzej ona ogarnia masę, tem użyteczniejsza przeto staje się legenda w dziele zgarniania duszy masowej w jedno ciało psychiczne, mające stworzyć sobie, czy utrzymać jaźń narodową. Zbiorowości dany jest instynkt, że broni się od spędzania mgieł legendy. Ona z niej musi czerpać żywotność duchową na dalsze dzieje, szuka w niej pierwiastków chwały, czynników duchowych dodatnich, sprzyjających życiu. Tak samo instynkt rodziny ochrania tradycję matki. Widmo idealizowane przodka, ukazywane dziecku, staje się środkiem wychowawczym, rzucającym na biały ekran jego przyszłości zarys ideału.

Nie byłoby ideału przed nami, gdyby nie było idealizacji przeszłości. Przyszłość z przeszłości się rodzi. Wielką rolę spełnia w tem procesie przerzucania ideału— sztuka. Ona chwyta widmo przekazów historycznych w duszy człowieka na gorącym uczynku. Umysł analityczny, krytykujący, docierający prawdy, czasami syntetyzujący, grzebie się w materjale surowych pokładów pamięci i krytycznie ją organizuje (mówiąc terminem psychologji). Historyk, pomagając sobie dokumentami, dokonywa takiej pracy nad organizowaniem pamięci narodu, jakiej dojrzewająca jednostka dokonywa w swoich zasobach duchowych. Nie zawsze się to udaje: świadomość i tu i tam pomimo wszystko zostawia na swoich dziejach barwę uroku cudownego przeszłości. Artysta ma zawsze rację, gdy chwyta samo widmo ideału w jego wędrówce przez duszę żyjących. Zanim zrodzi arcydzieło, jego dusza już jest arcydziełem natury, że w niej ta legenda ideału, która „tłum ludzi obiega", znajduje swoją arkę, swój głos archanielski, swój wyraz typowy, utrwalony widomie.

Takim artystą jest w sztuce Szaniawskiego rzeźbiarz nie mający nic do powiedzenia o swojem dziele, jak to, że tak naród widzi swego bohatera, jak on przedstawił w rzeźbie. Smutna jego siostra Med jeszcze mniej ma do powiedzenia: jej losem jest rozpięcie między widzeniem artysty a badawczym umysłem narzeczonego, uczonego historyka, który za punkt honoru uważa poddać surowy produkt wyobraźni analizie i unicestwić jako nieodpowiadający prawdzie realnej. Wywiązująay się dramat psychologiczny przekracza granice psychologji, jednostkowej. Odrywa się w regjonach psychologji, dochodzącej ponad człowiekiem praw swoich.

Dzieło Szaniawskiego należy do tej dziedziny procesów myśli, które dokonywują operacji nad świadomością samą, do szeregu wysiłków poetyckich: Mickiewicz— Wyspiański. Ze swoją normą wychowańca pozytywizmu stanął w ich rzędzie, aby pokazać w kształtach komedji, prozą napisanej, ulepionej z prostych, nieraz wadliwych ludzi, aż do karykatury śmiesznych ze swoją nieświadomością, jak ten proces życia duchowego, tak wielce skomplikowany, wygląda od dołu. Gdy jedni (a tych miljon) legendą oddychają, jak powietrzem, gdy inni z niej żyją fachowo, to znowu u góry są tacy nieliczni, którzy na legendzie łamią swój żywot. Są to wytwórcy prawd — artyści, uczeni—rozdwojeni między prawdą „samą w sobie" a prawdą życia, tą, którą chce mieć wola życia. Silny prąd życia chwieje płomieniem rozumu, usiłującym rozwidnić drogi ludzkie, zrywa kaptury mnichom i berety uczonym, aby przed posągiem legendy pochylili czoła i poczuli, jak mówi Słowacki, wichr Boży we włosach. Taką sceną kończy się poemat Szaniawskiego.

„Żeglarz" przynosi zaszczyt Szaniawskiemu, myślicielowi i dramaturgowi. Talent pisarza scenicznego miał do pokonanie wielkie trudności, żeby dramat procesu duchowego, tak oderwanego od poziomu, ucieleśnić w kształty przygody trzyaktowej, a przytem nie pozbawić go symbolizmu. Tym, którzy wiedzą, jak psychologja narodu, dobija się swych praw w myśli jednostek, utwór ten zrobił wielką przyjemność. Jest bowiem znakiem, że myśl polska organizuje się w ciężkiej pracy nad uświadomieniem sobie własnych procesów.

Brak miejsca nie pozwala mi bliżej zająć się „Żeglarzem", to tylko dodam, że dzieło Szaniawskiego będzie miało trwałe miejsce w piśmiennictwie i w repertuarze teatralnym. Dobrze wyreżyserowane (przez art. Jaracza), w dobrych dekoracjach (Drabika) przez dobrych artystów odegrane, robi silne wrażenie, potęgujące się z każdą sceną. Wielce przyczynił się do tego efektu Frenkiel swoją grą mistrzowską.

Z. W.

NA MARGINESIE

Pan Wasercug w „Kur. Pol." „nie ma wieksze zmartwienie", tylko studjuje dziennik podroży Prezydenta Rzpltej, aby skontrolować, gdzie i kto zbyt wiele (według niego) na cześć Prezydenta powiedział. Któryś gdzieś starosta wspomniał o „blasku majestatu". Mistrz dobrych manier z dziennika żydowskiego uważa taki zwrot za grzech przeciwko republikanizmowi Polski. Ileż to razy jego dziennik pisał o majestacie z powodu Narutowicza. Mówiło się, panie Wassercug— o grobach królewskich na Wawelu. Dlaczego „Kur. Polski", zamazujący winę Steigera i Strancmana, tak skrzętnie doszukuje się winy we wszystkiem pana Prezydenta? Wolelibyśmy, żeby p. Wassercug nie zajmował się dyskredytowaniem powagi Prezydenta. Uważamy za arogancję z jego strony, gdy dla okazania lekceważenia dowcipkuje „o takich czy innych estetyczno-architektonicznych sądach prezydenta Wojciechowskiego". Za dużo sobie pozwalamy, panie Wassercug!

*

Polityka jest pasmem kompromisów — mówią dwupłciowcy, nienależący do rodzaju Mussoliniego. To też, gdy podczas obrad w naszym Sejmie nad reformą rolną bijący w pulpity nie mogli się pogodzić z niebijącymi, zaproponowano kompromis, czyli porozumienie się wilków z baranami. Ugoda nie doszła do skutku, chociaż jest to kanwa, na której wyszywane są wszystkie uchwały naszego parlamentu. Wyobrażamy sobie, jak przytem cierpi i jaki gwałt zadaje swojej ochocie przewodniczący burzliwym obradom wicemarszałek, który wraz ze swymi partyjnikami pragnąłby walić w pulpity a tymczasem dla utrzymania bezstronnej powagi musi przywoływać ich do porządku.

Piekielna męka!

*

Lewica sejmowa domaga się zmniejszenia armji naszej do 150,000 żołnierzy. Podobne żądanie w podobnych warunkach niebezpieczeństwa ze strony Prus i Rosji postawiła rządowi carowa Katarzyna z większą jednak wyrozumiałością, bo zezwalała na poważną w owych czasach ilość 30,000. Wtedy oparł się redukcji i wypowiedział jej sprawcom wojną Kościuszko. Możnaby przypuścić, że teraz wystąpi do walki zazdroszczący mu sławy drugi nasz Naczelnik Państwa, Piłsudski, gdyby nie to, że musiałby stanąć przeciw „towarzyszom". Ale zapewne zawarłby z nimi „kompromis".

*

W kilka dni po uroczystościach stołecznych na cześć Nieznanego Żołnierza prasa poruszyła okoliczność, że w tym obrzędzie żołnierskim nie brał udziału b. wódz naczelny. marszałek gen. Piłsudski. Ostentacyjnie nie brał udziału, ponieważ nie zna sobie równych w dowództwie obecnem armji. Tak tedy znany żołnierz nie uczcił grobu Nieznanego żołnierza. Najzabawniejsze w tem wszystkiem jest to, że na uroczystości nikt tej nieobecności nie zauważył... Każdy ma swój grób — i wielki i nieznany żołnierz.

*

Wychodzacy we Lwowie organ żydowski „Chwila", zajmuje się wyłącznie sprawami żydowskiemi. Wiele miejsca poświęca oczywiście Steigerowi, ale nie zapomina o literaturze.

W n-rze z 4 bm. „Chwila" chełpliwie podnosi zasługi Żydów na polu cywilizowania Polaków:

> „Warszawski miesięcznik poetycki „Skamander" odegrał w rozwoju młodej poezji polskiej doniosłą rolę. Niezależnie od poziomu antagonizmów narodowościowych i społecznych, które jak chwasty rozpleniły się w życiu duchowem wskrzeszonego narodu, młode to gniazdo literackie energicznie i sprężyście zaprawiało garnące się w niem talenty do przyszłych lotów i odlotów. Dziś może z satysfakcją stwierdzić, że praca nie poszła na marne. Młodzi poeci „Skamandra" nietylko wnieśli do dorobku literackiego wielkie wartości literackie, ale oni to prawie wyłącznie zdołali obudzić zainteresowanie Europy dla ruchu literackiego Polski i naodwrót otworzyli tej literaturze okno na Europę".

Bardzo interesujące jest to wyznanie, że owe talenty w żydowskiem gnieździe garną się nietylko do lotów, ale i odlotów. A dokądże to? Czy nie na wschód? „Skamander" istotnie otworzył okno, ale na Sowiety, a że nie pozwala zamknąć okna na Niemcy, więc spowodował przykry przeciąg. Można to nazwać „ruchem literackim", ale myśleliśmy dotąd, że „Europa" bez pośrednictwa Żydów coniebądź wie o Kasprowiczu, Reymoncie, Żeromskim... Czyżby i od nagrody Nobla należało się co „Skamandrowi"? A jednak Polacy są niewdzięczni, woleliby zrzec się tego ruchu i wołają po warszawsku: — Zamknąć Żydy lufcik, bo cug!

*

Niech żyje Wilno! Wprawdzie zdarzyło mu się nie tylko to, co nieraz zdarza się wszędzie, że policjanci wymuszają łapówki i nadużywają swej władzy, lecz nawet to, co należy do wypadków bardzo rzadkich, że prokurator okazał się złodziejem i osadzony został w więzieniu — ale władze okazały szybką i surową energję, postawiwszy winnych przed sądem. Warszawa jest zdziwiona, zawstydzona albo może nawet poczęści oburzona. Za właściwsze i normalniejsze uważałaby ona — według rosyjskiego przysłowia — „puszczenie końców w wodę" (co wielokrotnie wykazała w swych sprawozdaniach Izba Kontroli), albo też zawarcie kompromisu między oskarżycielem i oskarżonym. To byłoby politycznie—prawda, sejmujące stany?

*

Wiedeńska fabryka kapeluszów Habigu zawiadomiła odbiorców tutejszych, że musi podnieść cenę o 2 zł. na sztuce z powodu zwiększonych „kosztów" przy otrzymywaniu pozwoleń na przywóz. W Wilnie możeby ukarano sprawców podwyżki tych „kosztów", w Warszawie ukarano fabrykanta zakazem przysyłki jego wyrobów. Zastosowano słuszną regułę „swój do swego po nieswoje".

KRONIKA OGÓLNA

SPRAWY WEWNĘTRZNE

Z powodu obstrukcji „Wyzwolenia" głosowanie Sejmu nad poprawkami Senatu do ustawy o reformie rolnej odbywa się bardzo powoli. Dotychczas uchwalono zaledwie 13 artykułów.

Pos. Konopczyński zgłosił wniosek, przewidujący znaczne zaostrzenie regulaminu sejmowego, w celu utrudnienia stosowania w Sejmie obstrukcji.

Sejm rozpoczął w drugiem czytaniu dyskusję nad „ustawami sanacyjnemi". Znakomite przemówienie wygłosił pos. Wierzbicki.

W Warszawie odbył się walny zjazd delegatów Związku Obrony Kresów Zachodnich.

SPRAWY ZAGRANICZNE

W Rzymie policja odkryła i udaremniła planowany zamach na premjera Mussoliniego. W związku z tem w całych Włoszech odbyły się wielkie manifestacje na cześć Mussoliniego i faszyzmu.

Nowy rząd Painlevé'go przedstawił parlamentowi francuskiemu swój program w sprawie naprawy finansów. W dyskusji ujawniła się znaczna różnica poglądów między stanowiskiem rządu a stanowiskiem partji socjalistycznej.

Do Berlina przybył sowiecki komisarz spraw zagranicznych Cziczerin oraz poseł niemiecki w Moskwie hr. Brockdorf-Rantzau.

Na Prezydenta republiki Łotewskiej wybrany został ponownie dotychczasowy prezydent Czakste.

Przy wyborach do rad miejskich Londynu konserwatyści zdobyli 1002 mandaty, socjaliści zaś tylko 364 mandaty.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu J. C. Bardzo trudna jest dyskusja, gdy zarzut stawia się tak gołosłownie, bezimiennie i do tego z insynuacją. „Najczęściej — tak Pan pisze—nie patrzymy na to co powiedziano, jeno kto powiedział". Dobrze, ale ten ktoś wyrobił sobie autorytet właśnie tem czemś, co napisał. Czy Pan się znał na tem czemś, co mu wyrobiło sławę? Skądże Pan wie, że to, co teraz pisze, nic nie warte? Że „patrzymy na to, co powiedziano", najlepszy dowód odpowiedź niniejsza, bo przecież się Pan nie podpisał. Przydałoby się Panu trochę skromności w sądach; ona cechuje prawdziwą inteligencję.

S. Petah. Nie zużytkujemy. Nawet Pan nie podaje, z czego Pan przełożył.

Panu St. K. w M. Nie można w wymaganiach udogodnień iść za daleko. Wytworzył się nawet wśród inteligencji filisterski czy dorobkiewiczowski sposób traktowania wydawnictw, gdy chodzi o zapłacenie prenumeraty. Przecież nie możemy posyłać inkasenta na wieś po 8 zł. Posyłaliśmy czek na P. K. O. (№ 3,105, może Pan przekazem pocztowym wysłać. Wkrótce można będzie zamawiać i opłacać prenumeratę na poczcie miejscowej.

Panu prof. W. Gł. w Dubnie. Uwagi pana są słuszne. Czytelnicy pism otrzymują wiadomości o książkach, ale nie widzą nigdzie ich ceny. Przyczyną jest to: 1) Nakładcy przysyłając wydawnictwa do redakcji, cen tych nie notują, 2) nakładów swoich nie lubią reklamować w ogłoszeniach. „Myśl Narodowa" daje księgarzom specjalnie dogodne warunki ogłoszeń, ale trudno je wydobyć. A przecież jest to pismo literackie, szeroko rozchodzące się wśród inteligencji, nabywającej książki. W *Times'ie*, o którym pan wspomina, są przy ocenach ceny, ponieważ nakładca sam dostarcza tych ocen, specjalnie dla prasy sporządzanych i to indywidualnie przez fachowców. Z notatek okólnikowo, rozsyłanych przez nasze księgarnie trudno pismu literackiemu korzystać, są to bowiem szablony bez treści. Pisze pan: „Nieraz czytam ocenę książki, zainteresuje mnie ona, ponieważ jednak nie wiem ceny, obawiam się pisać do księgarza o jej przysłanie, manipulacja zaś dowiadywania się ceny jest długotrwała i uciążliwa. Nadto zainteresowanie stygnie, bo życie nie stoi". My to powtarzamy księgarzom, ale widocznie bez reklamy dobrze im się dzieje.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-ie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 8, rocznie zł. 30, za granicą kwart. zł. 12. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. „A. Michalski", sp. z o. o., Warszawa, Chmielna 27. Telefon 27-15.